



DZIENNIK POLSKI

Relaks

Krzyżówki
do kawy.
Nowości
w programie TV



Inwestycja

Zmiany
w projekcie kładki
Kazimierz
– Ludwinów

Mieszkańcy zwracają uwagę na różnice w obecnym kształcie a rozwiązaniami widocznymi na wcześniejszych wizualizacjach. Czy tak jest?
– Str. 4

Pasje

Michał Napierała
rzucił korporację
dla drewnianych
zegarków

W tej krakowskiej pracowni czas jest niemalże namacalny. Twórca zegarków zamyka go w minimalistycznej drewnianej formie
– Str. 15

Z naszych stron



To jest już naprawdę koniec

Lech Janerka pożegna się
z krakowskimi fanami
w niedzielę, 9 sierpnia,
w klubie Alchemia

– Str. 6

REKLAMA

0011548513

Zakrecona LOTERIADA
GRAJ O MILIONY NAGRÓD
ZGARNIAJ NAGRODY

LOTTO

AUDI A3
NAGRODA GŁÓWNA

ZAKRĘĆ KOŁEM

VOUCHER LOTTO

4000 zł

1000 zł

+10 SZANS W LOSOWANIACH

DODATKOWY LOS LOTERIADY

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

Szczegółowe informacje dotyczące liczby nagród oraz regulamin dostępne na www.lotteriada.pl
Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 30 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Tangowa 25, 03-728 Warszawa

18+

POLECAMY

JUTRO: Urlop połączony z warsztatami. Gwiazdy ekranu: Tomasz Kot i Witold Pyrkosz

7.08.2026

Piątek

Dziś imieniny obchodzą: Dorota, Kajetan, Klaudia, Konrad
Telefon alarmowy: 112

Komentarz

**Janusz Michalczyk:**
„Głupiutka i wystraszona”

Publicysta

Tymi słowami psycholog Ewa Woydyłło (87-letnia miłośniczka tenisa) określiła Igę Świątek (25-letnią gwiazdę tenisa). Wybuchła kilkudniowa medialna burza, Iga nie komentowała, a Ewa po namyśle przeprosiła. W istocie chodzi o bardzo emocjonalne reakcje naszej najlepszej tenisistki, która dominując na korcie bez racjonalnego powodu nagle traci spokój, pewność siebie i albo z trudem wygrywa, albo łatwo ulega rywalce. Komentatorzy i znawcy sportu głowią się nad tą zagadką, ale dotychczas żaden nie rozgryzł do końca problemu.

Sądzę, że w bezceremonialnej opinii psycholożki może kryć się załączek wyjaśnienia. Iga jest „głupiutka”, ale niby w jaki sposób młoda sportsmenka, uwielbiana przez tłumy i zarazem poddana olbrzymiej presji, ma bezboleśnie osiągnąć dojrzałość, mądrość i demonstrować zawsze stoicki spokój? Jest „wystraszona”, gdyż boi się, że straci pozycję zawodniczki ze ścisłej czołówki, obawia się krytyki ze strony kibiców i utraty wypasionych kontraktów reklamowych. Nie ma dobrego i łatwego rozwiązania, jak poradzić sobie ze słabością i lękiem, będąc w centrum zainteresowania.

Idolem Igi jest Rafael Nadal, który niedawno zakończył wspaniałą karierę. W dokumentalnym filmie do obejrzenia na Netflixie pokazano, że praktycznie od początku drogi na szczyt nie tylko przechodził katorżniczy trening, ale i zmagał się z dotkliwym bólem o podłożu genetycznym, którego nie zawsze dało się uśmierzyc. Zwyciężał, bo potrafił zaakceptować wielkie cierpienie. Stał się niejako niewolnikiem własnej ambicji, poświęcił zdrowie dla momentów oszałamiającej satysfakcji.

Sport ma ciemną stronę. Andrzej Gołota stwierdził w apogeum sławy, że nienawidzi boksu. To nie była głupota ani brak odwagi.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Dziennik
Polski”tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.dziennikpolski24.pl

POGODA

dzisiaj
19°C/25°Cjutro
18°C/26°C**Redaktor naczelny**
Piotr Rapalski
Z-ca redaktora naczelnego
Arkadiusz Maciejowski
Wydawcy Włodzisław Zapart,
Dariusz Penar, Katarzyna
Kachel, Paulina Szymczewska,
Agnieszka Aulich, Magda
Domańska-Smoleń

www.dziennikpolski24.pl

Polska Press
Makroregion Śląsk, Kraków
Redakcja ul. Zabłocie 43A,
30-701 Kraków
tel. 12 688 85 01
redakcja@gk.pl, sekretariat@gk.pl
Prezes Makroregionu
Dariusz Kolacz
Dyrektor sprzedaży
Wojciech Cekiera
Biuro reklamy oddziału
tel. 12 688 84 44
Druk
Polska Press Oddział Poligrafia,
41-203 Sosnowiec Miłowice,
ul. Baczyńskiego 25a**Wydawca Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10© - umieszczenie takich dwóch
znaków przy Artykule,
w szczególności przy
Aktualnym Artykule, oznacza
możliwość jego dalszego
rozpowszechniania tylko
i wyłącznie po uiszczeniu opłaty
zgodnie z cennikiem
zamieszczonym na stronie
www.dziennikpolski.pl/tresci
i w zgodzie z postanowieniami
niniejszego regulaminu.

KRAKÓW, CZĘSTOCHOWA

Piesza Pielgrzymka Krakowska wyruszyła na Jasną Górę. Co to będzie za tydzień!

Ewa Waclawowicz, Julia Stankowska

Na to krakowscy wierni czekali cały rok. Wczoraj o poranku ze Wzgórza Wawelskiego tysiące pątników wyruszyło w 6-dniową trasę do Częstochowy. Uczestnicy z radosnymi pieśniami na ustach przejdą ok. 150 km.

Pątnicy z Krakowa rozpoczęli swoją wędrówkę na Jasną Górę spod Wawelu, której tematem przewodnim są „Uczniowie-Misjonarze” - będącej tym samym hasłem roku duszpasterskiego Kościoła 2026.

Porannej mszy św. inaugurującej 46. edycję pielgrzymki przewodniczył kard. Grzegorz Ryś, metropolita krakowski. Kardynał apelował do pątników o modlitwę o pokój: Pragniemy pokoju dla całego świata. Myślę, że to powinna być jedna z najważniejszych intencji naszego pielgrzymowania. Chcemy, żeby z całą mocą objawił się Pan Jezus, który jest Księciem pokoju, i żeby przemieniał ludzkie serca, dzisiaj tak łatwo ulegające pokusie wojny, przemocy, siły.

W swojej homilii skupił się na zjawisku, jakim było przemienienie Je-



FOT. ANNA KACZMARZ

Przed nimi sześć dni marszu

zusa na Górze Tabor: - Potrzebujemy tajemnicy przemienienia, bo wszyscy potrzebujemy, żeby w nas tę Bożą godność odsłonić. Tak, jak Jezus na Taborze przez chwilę odsłonił swoją godność Syna Bożego, żeby mogli ją zobaczyć jego uczniowie, tak samo my potrzebujemy, żeby ta godność była w nas odsłonięta. - podkreślił również, że rozpoczęta pielgrzymka służy właśnie przemienieniu. - Pozwólcie Bogu odsłonić w Was tę godność Bożej Córki i Bożego Syna.

Ta droga w 2026 będzie liczyła od 130-150 km, w zależności od miejsc noclegu poszczególnych grup. W pielgrzymce bierze udział 8

wspólnot, których nazwy są adekwatne do nazw krakowskich dzielnic oraz podkrakowskich miejscowości. Oprócz tego na Jasną Górę zmierzają wspólnoty zakonne.

Wędrówka zakończy się 11 sierpnia 2026 uroczystą mszą świętą na Jasnej Górze. Nadchodzący czas będzie dla pielgrzymów wyjątkowo intensywny - pielgrzymka to jednak nie tylko setki kilometrów pieszo, ale również czas modlitwy, wyciszenia i zabawy - podczas wędrówki nie brakuje m.in. muzycznych czy sportowych atrakcji.

Wszystkich, którzy nie mogą wybrać się na pielgrzymi szlak organizatorzy zachęcają do duchowego pielgrzymowania, by pomodlić się wraz z tymi, którzy idą ofiarować swoje troski i kłopoty, a może nieraz cierpienia za Kościół św., za dar Jana Pawła II oraz o Boże błogosławieństwo.

Chorem, wśród rodzin pielgrzymów, a także w całej archidiecezji, osobom, które nie mogą uczestniczyć w pielgrzymce proponujemy „duchowe pielgrzymowanie” we współpracy z Biurem Prasowym Archidiecezji Krakowskiej i TBCProject poprzez stronę www, media społecznościowe, transmisje live.

PRZYRODA

Dziwny ptak, jerzyk

Grzegorz Tabasz

Jerzyka z jeżem łączy tylko wymowa. Mniejsza już o ortografię, ale jesień nadchodzi nieubłaganie. Jerzyk to ptak. Większy od jaskółki, ciemnej barwy. Wydaje charakterystyczne, głośnie dźwięki w locie, które trudno pomylić.

Bardzo dziwny ptak, który gdyby nie konieczność wysiadywania jaj, doskonale obyłyby się bez stałego lądu. Krótko mówiąc, nic mu po ziemi. Jest tak znakomitym lotnikiem, iż w powietrzu sypia,

zdobywa pokarm, spija krople deszczu, a nawet uprawia czynności związane z przedłużeniem gatunku. Tak, tak, miłość w przestworzach...

Ornitolodzy sporządzili już bilans czasu czarnego ptaka. Ponad dziewięćdziesiąt procent życia spędza w przestworzach. Reszta to wspomniane wysiadywanie jaj i rzadkie okresy drzemki w gnieździe w czasie chłodnej, deszczowej aury. Bywa i tak, iż w poszukiwaniu owadów, które chwytą w locie oddala się od gniazda

na kilkadziesiąt kilometrów. Jeden z ptaków z dołączonym nadajnikiem GPS, miał spędzić w powietrzu bez przerwy trzy lata! Teraz jerzyki z wolna udają się na zimowisko do Afryki.

Na południe od Równika, czyli znacznie dalej niż białe bociany. Tam, na drugiej półkuli zacznie się lato. Daj im Boże jak najwięcej owadów i nieco chłodu. U nas iście afrykańskie upały zabiły sporo młodych.

Do nas wrócą w maju i będą nadrabiać zaległości w kwestii liczebności gatunku. Długo ich nie będzie, ale coś na klimat nie ma mocnych.

KRONIKA KRAKOWSKA

• **Telefon** dziennikarza dyżurnego **697 730 318**
• **e-mail** redakcyjny **redakcja@gk.pl**

PODHALE

Poidła dla koni do rozbiórki! Tylko kto wykona wyrok?

Poidła dla koni, czyli pięć nielegalnie postawionych domów do rozbiórki. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu podtrzymał wyrok sądu w Zakopanem, który skazał inwestora na karę grzywny, ale nakazał rozbiórkę budynków

Łukasz Bobek

Inwestor postawił obiekty na własnej działce, ale na terenach zielonych niebudowlanych, objętych na dodatek ochroną Parku Kulturowego Kotliny Zakopiańskiej. Kto i jak wyegzekwuje prawomocny wyrok?

Zdaniem urzędników zapisy w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego oraz zasady parku kulturowego bezwzględnie zabraniają tego typu zabudowy. Inwestor oczywiście nie uzyskał żadnego pozwolenia na budowę.

Sąd skazał właściciela

W połowie sierpnia 2025 roku Sąd Rejonowy w Zakopanem wydał wyrok: „poidła” są nielegalne, a inwestor złamał prawo i zapisy uchwały rady miasta dotyczącej Parku Kulturowego Kotliny Zakopiańskiej. Józef G.-M. został ukarany grzywną w wysokości 5 tys. zł. Co więcej, sąd zobowiązał go do przywrócenia terenu do stanu pierwotnego – rozebrania pięciu budynków oraz zlikwidowania utwardzonej drogi dojazdowej.

Sędzia w ustnym uzasadnieniu podkreślił, że Józef G.-M. działał w sposób umyślny. Wcześniej toczyło się bowiem wobec niego postępowanie dotyczące innego obiektu w tym samym terenie. Miał więc pełną wiedzę, że na tym obszarze nie wolno mu niczego budować.



FOT. ŁUKASZ BOBEK

Inwestor twierdził na początku, że buduje... poidła dla koni

Inwestor odwołał się od wyroku pierwszej instancji. Sąd Okręgowy w Nowym Sączu po niemal roku utrzymał w mocy wyrok sądu w Zakopanem i obciążył Józefa G.-M. kwotą 1372 zł z tytułu wydatków za postępowanie odwoławcze. Wyrok jest prawomocny.

Kto przymusi do rozbiórki?

Gdy droga odwoławcza się zamknęła, nadszedł czas na egzekucję wyroku. Urząd Miasta Zakopane niezwłocznie po uzyskaniu informacji o prawomocnym rozstrzygnięciu podjął działania w tym zakresie. Obecnie sprawa, w tym możliwe dalsze kroki i tryb postępowania, jest szczegółowo analizowana pod względem prawnym.

Po zakończeniu analizy będziemy mogli przekazać bardziej szczegółowe informacje dotyczące dalszych działań – poinformował „Gazetę Krakowską” magistrat. – Na obecnym etapie, mając na względzie dobro i skuteczność prowadzonych czynności, nie chcemy przesądzać ani publicznie wskazywać konkretnych rozwiązań prawnych, które mogą zostać zastosowane – czytamy w oświadczeniu.

Urząd zapewnia, że „sprawa pozostaje w obszarze zainteresowania i podejmowane są działania zmierzające do ustalenia właściwego sposobu dalszego postępowania”.

– Sąd Rejonowy w Zakopanem 10 czerwca wysłał odpis prawomoc-

nego wyroku do ukaranego, czyli ukarany wie, jaki ma obowiązek. 17 lipca odpis wyroku sąd przesłał także do Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego w Zakopanem – mówi sędzia Bogdan Kijak, rzecznik Sądu Okręgowego w Nowym Sączu ds. karnych.

Jak może wyglądać egzekucja i kto się ma nią zająć? Tutaj pojawia się problem. Według sędziego Bogdana Kijaka sytuacja jest dość nietypowa i nie ma przepisów regulujących wprost kto i w jakim zakresie ma to wykonać i jak wyegzekwować od ukaranego obowiązek wynikający z wyroku. Sąd jednak zaznacza, że bez względu na wątpliwości, wyrok zostanie wykonany.

Nadzór budowlany prowadzi własne postępowanie

Niezależnie od wyroku sądu, swoje postępowanie administracyjne prowadzi Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego w Zakopanem. Zgodnie z przepisami, PINB musiał w pierwszej kolejności wszcząć procedurę legalizacyjną – choćta od samego początku skazana jest na niepowodzenie.

Urząd zobowiązał inwestora do przedłożenia dokumentów potwierdzających zgodność obiektów z planem zagospodarowania przestrzennego. Ponieważ plan nie dopuszcza w tym miejscu zabudowy, wiadomo już, że inwestor takich dokumentów nie uzyska.

Józef G.-M. odwołał się od postanowienia PINB do organu wyższej

instancji – Wojewódzkiego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. W Krakowie trwa obecnie analiza tej sprawy.

Jan Kęsek, szef PINB w Zakopanem, zaznacza w rozmowie z „Gazetą Krakowską”, że wyrok sądu z Nowego Sącza w sprawie poidła jest znany organowi, a jego kopia została już przesłana do WINB w Krakowie.

Koszty rozbiórki

Sprawa rozbiórki „poidła” nie będzie ani prosta, ani tania. Według ostrożnych szacunków koszt prac może wynieść ok. 1,7 mln zł – po 300 tys. zł za każdy dom oraz ok. 200 tys. zł za rozbiórkę drogi. Jeśli inwestor nie zdecyduje się na prace we własnym zakresie, konieczne będzie wykonanie zastępcze – czyli wyłonienie firmy w przetargu przez organ nadzoru. Na ten cel trzeba będzie jednak najpierw zabezpieczyć środki, które dopiero później będą egzekwowane od inwestora. Kto wyłoży pieniądze? Czy będzie to miasto Zakopane?

Kilka lat wcześniej ten sam inwestor został skazany za postawienie wiaty na drewno na Bachledzkim Wierchu. Wówczas sam poddał się karze i zadeklarował, że usunie obiekt w ciągu pół roku od wyroku. Terminu nie dotrzymał, a prawomocnego wyroku nikt od niego nie wyegzekwował. Wiatą ostatecznie zniknęła sama – przechowywane w niej drewno posłużyło do budowy... poidła dla koni.

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544991



KRAKÓW

Kładka Kazimierz - Ludwinów inna niż zaprojektowano?

Piotr Tymczak

Kładka pieszo-rowerowa łącząca Kazimierz z Ludwinowem jest coraz bliższa ukończenia. Mieszkańcy zwracają uwagę na różnice w obecnym kształcie a rozwiązaniami widocznymi na wcześniejszych wizualizacjach. W urzędzie przyznają, że w projekcie wprowadzono zmiany.

- Łuki, które miały być największą atrakcją tej kładki, zanikają. Chodzi o montowane barierki. Nie jest to trudne wyzwanie architektoniczne, tylko pójście po linii najmniejszego oporu i zostawienie czegoś co zmieni krajobraz - zwraca uwagę jeden z mieszkańców.

Co na to urząd? Zapytaliśmy, jaki jest powód tego, że barierki środkowej kładki w kształcie sinusoidy nie są w formie luków, tylko wykonano je w formie stopniowania poręczy.

W Zarządzie Inwestycji Miejskich w Krakowie wyjaśniają, że w związku z wytycznymi małopolskiej wojewódzkiej konserwator zabytków z 2024 roku, wprowadzono zmiany do projektu kładki Kazimierz - Ludwinów, które zmniejszyły ingerencję obiektu w Bulwar Inflancki i strefę UNESCO. - Zakres zmian obejmował dostosowanie projektu do wymagań konserwatorskich oraz aktualnych uwarunkowań. W wyniku tych zmian obniżono wynio-



FOT. ANDRZEJ BANAS

Nie tak to miało wyglądać. Zmiany w projekcie kładki

słość konstrukcji środkowego przęsła i dostosowano bieg schodów do nowej geometrii oraz obowiązujących przepisów - informuje Daria Staniszevska, rzeczniczka Zarządu Inwestycji Miejskich. - Wprowadzono spoczniki na schodach biegnących po środkowym pomoście, zwiększając komfort i bezpieczeństwo przyszłych użytkowników kładki. Jednocześnie do zamienego układu stopni schodowych i spoczników, dostosowano balustradę, której wysokość zapewniono w relacji do płaszczyzny ruchu - dodaje.

W ZIM zaznaczają, że rozwiązania te zostały pozytywnie zaopiniowane przez Zespół Zadaniowy ds. niechronionych uczestników ruchu w mieście Krakowie we wrześniu 2024 r.

W ZIM dodają też, że po zatwierdzeniu i wprowadzeniu zmian do dokumentacji projektowej, opracowano zaktualizowaną wizualizację kładki, która prezentowana była w dniach od 4 do 27 października 2025 r. na placu Szczepańskim w ramach ekspozycji „3. dekada. Architektura Krakowa 2020-2030”. - Na przedmiotowej wizualizacji, zobrazowano przebieg schodów i balustrady na środkowym pomoście, który odpowiada zrealizowanym elementom robót - wyjaśnia Daria Staniszevska.

Kładka będzie miała ok. 130 m długości, prawie 14 m szerokości. Łączy bulwar Inflancki z bulwarem Wołyńskim w pobliżu ulicy Ludwinowskiej.

NOWY SĄCZ

Odpust co roku gromadzi tłumy wiernych przed ołtarzem i... na kramach

Klaudia Kulak

Początek sierpnia to dla mieszkańców Nowego Sącza i Sądeckizny wyjątkowy czas. To wtedy odbywa się trwający tydzień odpustu ku czci Przemienienia Pańskiego. Od lat spotkania wiernych na sądeckiej Górze Tabor przyciągają tłumy, a codziennie odbywa się kilka mszy. Tradycją stało się również odwiedzanie kramów.



FOT. REDAKCJA NOWY SĄCZ

Na kramach można znaleźć dosłownie wszystko

Coroczne spotkania wiernych na sądeckiej górze Tabor to wydarzenie, które na stałe wpisało się w kalendarz wydarzeń. Do sanktuarium Przemienienia Pańskiego w tym czasie przybywają tłumy. Są to nie tylko mieszkańcy Nowego Sącza, ale także pobliskich miejscowości i parafii na całej Sądeckiznie. Podczas odpustu spotkać można również pielgrzymów z najdalszych zakątków kraju.

Spotkania wiernych odbywają się na Placu Kolegiackim. W tym roku potrwać do niedzieli 9 sierpnia. Każdego dnia odprawianych jest nawet dziewięć mszy świętych, a każda z nich gromadzi tłumy. Z

tego powodu również w mieście wzmożony jest ruch w centrum miasta. Oblężenie przeżywają również sądeckie parkingi.

Odpust w Bazylice Świętej Małgorzaty to nie tylko okazja do modlitwy, ale także odwiedzenia odpustowych kramów. Te każdego roku rozkładane są w sąsiedztwie kościoła i cieszą szczególnie tych najmłodszych. Podobnie jest w tym roku.

Na kramach można znaleźć dosłownie wszystko. Są zabawki przypominające te, którymi bawiły się dzieci w latach dziewięćdziesiątych, ale są też te bardziej współczesne. Jest biżuteria, pamiątki, a wszyscy, którzy uwielbiają smak odpustowych cukierków, mają ich do wyboru całą gamę.

Są również stoiska z dewocjonaliami, gdzie można kupić między innymi obrazy, różańce i wiele innych przedmiotów kultu religijnego.

MIECHÓW

Po czterech latach setki ton toksycznych odpadów znikną z miasta

Wykonano przedostatni krok do usunięcia setek ton niebezpiecznych odpadów, zalegających na działce przy ul. Kolejowej. Gmina zawarła umowę z konsorcjum dwóch firm, które podjęły się wywieżenia i utylizacji niebezpiecznych materiałów. Teraz pozostaje zrealizowanie umowy. Operacja pochłonie ponad 3 i pół miliona zł.

Koszty całej operacji szacowano wstępnie na osiem milionów złotych. Taką też dotację gminie udało się na ten cel uzyskać z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

W postępowaniu przetargowym pojawiła się co prawda tylko jedna oferta, ale za to o wiele niższa. Konsorcjum firm Raf-Ekologia z Jedlicz i MO-Bruk z Korzennej podjęły się wykonania zadania za nieco ponad 3,5

miliona złotych. Za tę kwotę do połowy listopada bieżącego roku z Miechowa powinny zniknąć ponad 543 tony toksycznych odpadów, które były tu zwożone ciężarówkami w 2022 roku z województw małopolskiego, śląskiego i mazowieckiego.

- Jestem bardzo zadowolony, że udało nam się pozyskać środki na utylizację tych odpadów i wyłonić firmy, które podejmą się tego zadania. Spodziewamy się, że pierwsze transporty z niebezpiecznymi materiałami wyjadą z Miechowa około 11-12 sierpnia - powiedział nam burmistrz Dariusz Marczewski. **Łukasz Gąciarz**

PORZĄDEK POGRZEBÓW

Cmentarz Rakowicki

9:00 - Małgorzata Musialik (lat 78)
10:20 - Władysław Pasteranak (lat 86)
11:00 - Leszek Stachyra (lat 89)
11:40 - Ryszard Jagoszewski (lat 79)
12:20 - Jan Matejesiek (lat 82)
13:00 - Jacek Jarnuszkiewicz (lat 75)
13:40 - Andrzej Sala (lat 93)

Cmentarz Podgórski

11:00 - Włodzimierz Etryk (lat 94)
12:00 - Irena Paciorek (lat 97)

Cmentarz Prokocim

14:00 - Władysław Berski (lat 96)

Cmentarz Prądnik Czerwony

9:00 - Kazimierz Kosmala (lat 85)
9:40 - Robert Mazgala (lat 62)
9:40 - Józefa Jamróz (lat 82)

DZIŚ ŻEGNAMY

10:20 - Sylwia Gorczyca (lat 45)
10:20 - Rozalia Kotaś (lat 90)
11:00 - Antoni Bury (lat 78)
11:00 - Zdzisław Fela (lat 85)
11:40 - Kazimierz Jakubowski (lat 79)
12:20 - Stanisław Grzesiak (lat 94)
12:20 - Danuta Płaza (lat 81)
12:30 - Marian Wąsik (lat 69)
13:00 - Piotr Urbanek (lat 79)
13:00 - Piotr Borysenko (lat 75)
13:40 - Jan Jeremionok (lat 93)
Cmentarz Grębałów
9:40 - Halina Rodek (lat 76)
11:00 - Tadeusz Zelek (lat 93)
12:20 - Przemysław Federowicz (lat 70)
13:00 - Kazimierz Grymek (lat 78)
13:40 - Maria Kowalska (lat 75)

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544962



TRANSPORT

Ekspresowo z Krakowa do Koszyc już za rok?

Małgorzata Mrowiec

Z Krakowa do Koszyc - drugiego co do wielkości miasta Słowacji - mielibyśmy dojeżdżać pociągiem w około trzy do trzech i pół godziny. Takie usprawnienie połączenia kolejowego między Polską a Słowacją jest wyczekiwane od lat. O tym, że może do niego dojść już za półtora roku poinformowała słowacka telewizja publiczna STVR.

Z Polski do Koszyc nie ma obecnie bezpośrednich pociągów. Podróż z Krakowa zajmuje około 7,5 do 9 go-

dzin i wymaga przesiadek. Po ukończeniu projektu „Podłęże – Piekietko” (planowanym na 2030 rok) bezpośredni pociąg z Krakowa do Koszyc przez Nowy Sącz i Muszynę powinien pokonać tę trasę w maksymalnie 3 i pół godziny.

Ekspres Cracovia

Ostatnio polski rząd przedstawił założenia programu Nasza Kolej i plany rozwoju kolei do 2035 roku. Jest w tych planach kilka linii na Słowację. Zakładany jest m.in. długo wyczekiwany powrót ekspresu Cracovia, który połączyłby bezpośrednio Koszycy z Krakowem i Budapesztem. - Powstaną dwie nowe linie da-

lekobieżne, a mianowicie Kraków – Żylin – Bratysława – Wiedeń, a następnie połączenie Kraków – Nowy Sącz – Preszów – Koszycy – Budapeszt - powiedział dla STVR Peter Jančovič, ekspert ds. transportu i prezes zarządu CER Poland, polskiego przewoźnika z grupy CER Cargo.

Strona słowacka od dawna zabiegała o powrót ekspresu Cracovia, a Węgrzy również byliby na to gotowi. Po polskiej stronie pociąg ten ma korzystać z nowego toru, który jest obecnie w budowie. - Po ukończeniu torów połączenie Krakowa z Koszycami będzie możliwe w około trzy do trzech i pół godziny, co jest już bardzo atrakcyjne i zde-



FOT. ANDRZEJ BANAS

Kiedy do Koszyc z Krakowa w trzy godziny pociągiem?

cydowanie bardziej atrakcyjne niż podróż samochodem - wskazał Jančovič.

Jednak po stronie słowackiej linia jest przestarzała. Zwróciło na to uwagę polskie Ministerstwo Infrastruktury. „Warunkiem powodzenia takiej inicjatywy jest przeprowadzenie przez stronę słowacką prac rewitalizacyjnych na odcinku Plaveč - Preszów, które zwiększyłyby maksy-

malną prędkość linii” - poinformowała cytowana przez słowacką telewizję Anna Szumańska, rzeczniczka Ministerstwa Infrastruktury.

Jak przekazuje STVR, słowackie Ministerstwo Transportu ogłosiło zamiar remontu linii. Chce zmodernizować odcinek od granicy z Polską do Preszowa i podwoić torowisko linii między Preszowem a miejscowością Kysak w kraju koszyckim.

MATERIAŁ INFORMACYJNY IMAGO CENTRUM SZTUKI LUDOWEJ

Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej są z nami już pół wieku!

Od 8 do 23 sierpnia Rynek Główny wypełnią stoiska pełne wyjątkowych wyrobów, stworzonych z pasją i szacunkiem do tradycji

Przed nami 50. Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej – jubileuszowa edycja wydarzenia, które od pięciu dekad wpisuje się w kulturalny krajobraz Krakowa i niezmiennie gromadzi twórców, rzemieślników oraz miłośników rękodzieła z Polski i z wielu krajów Europy.

Dziś cenimy rękodzieło

Jak zauważa Michał Czerski, prezes IMAGO Centrum Sztuki Ludowej, które jest organizatorem targów, „Obserwujemy dziś prawdziwy renesans rękodzieła, bo na co dzień otaczają nas przedmioty produkowane masowo. Nie chodzi tylko o to, że wracają dawne wzory, ale że wracają wartości, które za nimi stoją”.

Każde stoisko to osobna historia. Historia regionu, rodzinnej pracy, materiału i umiejętności przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Drewno, glina, tkanina, ko-

ronka, metal i wiele innych tworzyw nabierają tutaj znaczenia dzięki pracy konkretnych ludzi – ich wiedzy, cierpliwości i doświadczenia.

Targi nigdy nie były tylko miejscem sprzedaży. To przede wszystkim przestrzeń spotkań. Rozmowy z twórcą, poznawania źródeł jego pracy i lokalnych tradycji, odkrywania różnorodności kultur, a także wspólnego przeżywania muzyki, tańca i tradycji, które nadal pozostają żywe.

Tradycja i nowoczesność

Jubileuszowa edycja będzie szczególna. IMAGO nie tylko chce przypomnieć historię targów, ale pokazać, że dziedzictwo nie jest zamkniętą przeszłością. Wprost przeciwnie: trwa tak długo, jak długo są ludzie, którzy je tworzą, przekazując dalej i nadając mu nowe znaczenia.

- Historia międzynarodowych targów sztuki ludowej nie wzięła się



FOT. IMAGO CSL

Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej to nie tylko rękodzieło, ale także koncerty i wyjątkowa atmosfera

znikąd. Był lipiec 1973 roku, kiedy na Rynku Głównym w Krakowie odbyła się pierwsza edycja, najpierw ogólnopolskich, a potem międzynarodowych targów sztuki ludowej. To właśnie tutaj spotykali się ci, którzy przekazywali wzory, techniki, a przede wszystkim – sposób patrzenia na świat. Z dziejami targów nierozdzielnie związana jest historia Cepelii, instytucji ważnej, choć niepozabawionej trudnych rozdziałów. Powołana do życia w 1949

roku, łączyła twórców ludowych, spółdzielnie, sklepy i odbiorców. Dlatego warto opowiadać tę historię uczciwie; bez idealizowania przeszłości, ale też bez odrzucania tego, co naprawdę miało znaczenie. Dziś tę opowieść piszemy dalej, ale już jako IMAGO Centrum Sztuki Ludowej. Spotkajmy się na jubileuszu pełnym wspomnień i tradycji – zachęca Michał Czerski, prezes IMAGO Centrum Sztuki Ludowej, organizatora targów.

Od lat są ważną częścią programu Targów są warsztaty. Można z bliska przyjrzeć się pracy twórców, spróbować swoich sił i odnaleźć własne miejsce w rzemieślniczej tradycji. Targom towarzyszą cykl debat Handmade in Kraków w Pałacu Potockich oraz konferencja „Dziedzictwo, które żyje. Jak chronić tradycję i budować dobre praktyki”, mówiące o tym, jak chronić i kontynuować niematerialne dziedzictwo kultury.



FOT. IMAGO CSL

AKCJA CHARYTATYWNA

0311545626



POŻEGNANIE

To już naprawdę koniec. Lech Janerka pożegna się z krakowskimi fanami



Jedyny w swoim rodzaju - Lech Janerka pożegna się z krakowskimi fanami w niedzielę 9 sierpnia w klubie Alchemia

Paweł Gzył

Lech Janerka postanowił skończyć z publicznymi występami. Dlatego teraz daje serię pożegnalnych koncertów. W Krakowie posłuchamy go ostatni raz na żywo w niedzielę 9 sierpnia o godz. 20. Bilety 149 zł.

Był niemal autystycznym dzieckiem. Pewnego dnia, kiedy uczęszczał do podstawki, postanowił, że już więcej nie pójdzie do szkoły. Zamknął się na trzy dni w łazience i patrzył w ścianę. Mama donosiła mu posiłki i czekała co będzie. W końcu wyszedł, spakował tornister i wrócił do szkoły. Kiedyś w szale wściekłości próbował sobie głowę o ścianę. W rezultacie musiało przyjechać pogotowie i założyć mu szwy. Ukojenie znajdował w literaturze, sięgał więc po coraz to bardziej „dorosłe” książki - choćby powieści Stanisława Lema.

Całe szczęście dosyć wcześniej spotkał bratnią duszę. Mając dziewiętnaście lat poznał w szkole Bożenę. On - trochę sztywny, nieśmiały, ale z głową pełną niekonwencjonalnych pomysłów, ona - skromna, pozornie spokojna, ale lubiąca od czasu do czasu zaszaleć. Bożena miała na niego tonizujący wpływ: kiedy wdawał się z kimś w konflikt i już rwał się do bicia, potrafiła go uspokoić. Oboje kochali The Beatles - zaczęli więc razem występować w studentckich klubach.

Lech wiedział, że nie jest wybitnym wokalistą, jego gra też pozostawała sporo do życzenia. Kiedy oglądał na scenie Czesława Niemena albo słuchał płyt SBB, czuł, że przy takich wirtuozach nie ma po prostu najmniejszych szans na zaistnienie. Wszystko zmienił punk: kiedy usłyszał, jak grają Ramones czy The Clash, uznał, że i on tak potrafi. Los chciał, że trafił na trzech chłopaków, którzy również chcieli ożywić swe

szare życie. W ten sposób narodził się zespół Klaus Mitteroch. - Nikt z nas nie był profesjonalnym muzykiem, ale kipieliśmy od emocji. Choć materiał na album skomponowaliśmy pod koniec lat 70., to nagraliśmy go dopiero kilka lat później, kiedy nauczyliśmy się lepiej posługiwać instrumentami. Nasza muzyka była adekwatna do czasu, w którym powstała. Udało się nam uchwycić nastrój tamtych chwil - dźwięki były agresywne i brudne, a teksty opisywały sytuację człowieka, który próbuje dać sobie radę w świecie bez nadziei - wspomina.

Mimo wielkiego sukcesu, drogi Janerki i reszty zespołu szybko się rozeszły - oni chcieli grać inną muzykę, a on inną. Dlatego Lech zaczął pracować nad solowym materiałem z Bożeną, grającą na wiolonczeli. Wytwórnia pomogła mu zaangażować świetnych instrumentalistów - i tak powstał album „Historia podowdna”, który dziś uznaje się za jeden z kamieni milowych w historii polskiego rocka. Ta na tym krążku znalazły się tak znakomite piosenki, jak „Konstytucja”, „Niewole” czy „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek”.

Kolejne jego płyty nie spotkały się z tak ciepłym przyjęciem. Mając poczucie niezrozumienia, rzucił muzykę i wyjechał na kilka lat do USA. Powrócił do łask mediów i słuchaczy w 2002 roku za sprawą przebojowego albumu „Fiu, Fiu”. Potem nagrał jeszcze beatlesowskie w duchu „Plagiaty” i... zamilkł na osiemnaście lat. Wszyscy byli tak spragnieni jego piosenek, że kiedy wydał w 2023 roku „Gipsowy odlew fałszyfikatu”, wprost padli przed nim na kolana.

W międzyczasie Lech Janerka ożenił się z Bożeną, doczekał się dzieci i wnuków. Kiedy stwierdził, że koncerty go męczą, zapowiedział rozstanie ze sceną. I chyba faktycznie sobie odpuszc.

KRAKÓW

MOCAK znowu szuka dyrektora. Jest konkurs

Anna Piątkowska

Miasto ogłosiło konkurs na dyrektora MOCAK-u po tym, jak w maju odwołany został dotychczasowy szef instytucji. Kandydaci mogą się zgłaszać do 30 października, a nazwisko osoby, która pokieruje muzeum poznamy wiosną przyszłego roku. Dyrektor zostanie powołany na okres trzech lat.

Doświadczenie w zarządzaniu instytucją kultury, wysokie kompetencje interpersonalne, wiedza o polskim i międzynarodowym polu sztuki, krytyki i rynku dzieł sztuki to tylko niektóre wymagania, jakie musi spełnić kandydat na dyrektora Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie. Miasto ogłosiło konkurs na to stanowisko.

Rok temu - 1 sierpnia rozpoczął swoją pracę w MOCAK-u Adam Budak, ale szefem instytucji nie był długo, już w maju odwołał go Aleksander Miszański. Instytucja po raz kolejny mierzy się z kryzysem zarządzania, jej wcześniejsza szefowa - Maria Anna Potocka również została odwołana przed upływem kadencji. W tle obydwu odwołań są m.in. nieprawidłowości związane z zarządzaniem kadrą muzeum.

Do czasu wyłonienia osoby, obowiązki dyrektorskie sprawuje w muzeum dotychczasowy zastępca zarówno Budaka jak i Potockiej - Grzegorz Kuźma, który również ubiegał się o stanowisko szefa instytucji w ostatnim konkursie.

Kto wybierze nowego dyrektora?

Skład komisji nie jest jeszcze znany, ale podczas ostatniego konkursu bu-



Miasto ogłosiło konkurs na dyrektora MOCAK-u

dził spore kontrowersje. Modyfikowano go od wpływem nacisków środowiska artystycznego.

Ostatecznie spośród sześciu osób, które zgłosiły chęć stanięcia na czele Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK wybrano wówczas Adama Budaka, kuratora o międzynarodowym doświadczeniu. Swoje pomysły na wystawy realizował jednak w Krakowie niezbyt długo - zobaczyliśmy zaledwie jedną odsłonę jego autorskiej koncepcji ekspozycji. Budak miał sprawić, że MOCAK po szeregu wystaw o sztuce w polityce, jedzeniu czy w sztuce miał wskoczyć na wyższy poziom. Ta wolta jednak okazała się zbyt kosztowna dla instytucji.

MOCAK w kryzysie

MOCAK mierzy się obecnie z kryzysem finansowym, czego efektem jest jubileuszowa wystawa stworzona na bazie kolekcji własnej, ale również z kryzysem wizerunkowym. - Nie wyszliśmy z kryzysu, ustawiliśmy inaczej instytucję. Nie dostaliśmy też dodatko-

wych środków finansowych, skorygowaliśmy program i zatrzymaliśmy pewne wydatki. Mamy jedno solidne wyzwanie finansowe na koniec roku - to wystawa Eleanor Antin we współpracy z zagranicznymi muzeami, generująca duże koszty. Umowa została podpisana przez Adama Budaka - tłumaczył nam podczas otwarcia nowej wystawy p.o. dyrektora Grzegorz Kuźma.

Po odwołaniu Adama Budaka magistrat zlecił w instytucji kontrolę. Jak się dowiadujemy, kontrola wykazała również nieprawidłowości m.in. w zakresie prowadzenia ewidencji zobowiązań w księgach rachunkowych muzeum. Szczegółowy wykaz ustaleń i zaleceń zostanie przedstawiony w wystąpieniu pokontrolnym, które ma zostać opublikowane w najbliższych dniach.

Przed nowym dyrektorem zatem stoi niezwykle trudne zadanie. Nazwiska osób, które będą chciały podjąć się tego zadania poznamy w listopadzie.

MUZYKA

Anna Piątkowska

Festiwal Muzyka w Starym Krakowie to jeden z najstarszych i najbardziej prestiżowych cykli koncertowych w mieście, organizowany w sierpniu w historycznych wnętrzach krakowskich kościołów i sali Filharmonii Krakowskiej. 51. edycja potrwa od 15 do 31 sierpnia.

Międzynarodowy Festiwal „Muzyka w Starym Krakowie” po raz pierwszy odbył się w 1976 roku. Jego pomysłodawcą i dyrektorem jest do dzisiaj ceniony dyrygent i muzykolog Stanisław Gałowski.

Sierpień nie istnieje bez Festiwalu Muzyka w Starym Krakowie

Festiwal stał się szybko czołową imprezą muzyczną Krakowa - i tak jest do dzisiaj. Występują na nim najwybitniejsi światowi artyści. Stał się też turystyczną podróżą po zabytkach Krakowa, ukazując piękno dziejów miasta. Podobnie będzie również podczas jubileuszowej edycji imprezy.

Tegoroczną edycję otworzy koncert w Filharmonii Krakowskiej, podczas którego melomani usłyszą pianistę Piotra Pawlaka, któremu publiczność kibicowała podczas ostat-

niej odsłony Konkursu Chopinowskiego. Muzyk wystąpi z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii Krakowskiej pod batutą Michała Klauzy 15 sierpnia.

W przededniu zakończenia festiwalu w Filharmonii Krakowskiej wystąpi nestorka polskiej pianistyki Lidia Grychtolówna. Artystce będzie towarzyszył skrzypek Krzysztof Jakowicz oraz Orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod dyktando Macieja Tworka.

Sprawdźcie program, będzie wiele muzycznych atrakcji.

POLITYKA

Karol Nawrocki. Rok prezydentury. Walka z rządem, budowanie swojej pozycji

Pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego był naznaczony wetami i nieustanną wojną z ekipą Donalda Tuska. Trudno zakładać, żeby w najbliższym czasie coś się miało zmienić

Dorota Kowalska

6 sierpnia minął rok od zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. I jeśli ktoś zakładał, że będzie to rok pełen politycznych emocji, ciągłych sporów nowego prezydenta z rządem Donalda Tuska i jego walki o rząd dusz na prawicy, nie pomylił się ani na jotę.

Najlepiej zresztą podsumował to premier Tusk, pytany o sytuację na prawicy i rok prezydentury Karola Nawrockiego. – Z całą pewnością na prawicy zawodnikiem wagi ciężkiej jest prezydent Nawrocki – ocenił. – Nie mówię tutaj o gabarytach i o boksie, tylko o tym chyba nie do końca przewidzianym przez Kaczyńskiego pojedynku między nimi. Moim zdaniem Kaczyński nie ma szans – podsumował szef rządu.

Dodał, że z okazji rocznicy powstrzyma się od „przesadnie złośliwych uwag”, ale wskazał trzy decyzje prezydenta, które, jego zdaniem, miały szczególne znaczenie. I w tym kontekście wymienił weto wobec europejskiego programu SAFE, ulaskawienie „Starucha” oraz weto wobec ustawy regulującej status osoby najbliższej.

Owszem, rozmawia z Karolem Nawrockim, ale jak zaznaczył premier, te rozmowy odbywają się zawsze z jego inicjatywy. Ostatnia dotyczyła rosyjskiej rakiety, która spadła w województwie lubelskim.

Nocóż, rządzący lekko z prezydentem nie mają, ale, powiedzmy sobie szczerze, można się było tego spodziewać już w czasie kampanii prezydenckiej. Prezydent Nawrocki nigdy nie ukrywał, że uważa Donalda Tuska za najgorszego premiera III RP i zrobi wszystko, aby utrudnić życie koalicji 15 października i odsunąć ją od władzy. Słowa dotrzymał. Wystarczy wspomnieć, że w ciągu pierwszego roku swojej prezydentury podpisał 243 ustawy, ale 41 zawetował. Więcej niż wszyscy dotychczasowi prezydenci – nawet ci, którzy swój urząd sprawowali dwie kadencje. Może stąd przydomek „wetomat”.

Niektórzy komentatorzy sceny politycznej zwrócili uwagę, że prezydent zachowuje się jak „nadpremier”, w każdym razie próbuje nadać ton pracom ekipie Donalda Tuska. Najwidoczniej zauważył to także sam Tusk, pewnie stąd jego słowa o tym, że „prezydent jest od reprezentowania, a rząd od rządzenia”.

Ale prezydent Nawrocki robi swoje i tam gdzie może, mówi: nie. W połowie listopada Pałac Prezydencki zablokował awanse ponad 100 funkcjonariuszy i żołnierzy ABW oraz SKW. Pretekstem miała być odmowa stawienia się u głowy państwa przez szefów służb specjalnych.

Nawrocki odmówił także przyznania odznaczeń i orderów funkcjonariuszom ABW, także tym, którzy mieli zostać odznaczeni w związku ze zwalczaniem wrogich aktów dywersji.

Wszystko zmieniło się w kwietniu tego roku – prezydent Karol Nawrocki nagle podpisał 96 nominacji oficerskich dla funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nadał odznaczenia państwowe.

Wcześniej Nawrocki nie zgodził się na nominację 46 sędziów. Każdy z tych sędziów podpisał wcześniej dwa rodzaje listów: protest przeciwko tzw. wyborom kopertowym oraz apel o wykonanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej dotyczących Izby Dyscyplinarnej.

Prezydent nie zgadza się też na wiele nominacji ambasadorskich i nie przyjmuje ślubowania od części wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Z drugiej strony, premier Donald Tusk kilkakrotnie odmówił kontrasygnaty decyzji prezydenta, nie chce iść na kompromis w kwestii wyboru niektórych ambasadorów czy ustaw przygotowanych w Pałacu Prezydenckim.

Jedni mówią więc o wojnie totalnej, inni o „nie najlepszych stosunkach małego i dużego pałacu”.

Na szczęście w poważnych sprawach, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo kraju, premier z prezydentem współpracują.



FOT. PAP

Właśnie mija rok od zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta Polski

tem współpracują. Mowa o wlocie nad Polskę rosyjskich dronów we wrześniu 2025 roku czy ostatnim naruszeniu polskiej przestrzeni przez pocisk z Rosji. Jedyna rzecz, jaka poróżniła w tej kwestii Pałac Prezydencki i Kancelarię Premiera, to unijny program SAFE. Rząd postawił jednak na swoim i, mimo weta prezydenta, z programu skorzystał.

Karol Nawrocki walczy jednak nie tylko z rządem Donalda Tuska, walczy także o rząd dusz na prawicy, ale jedno z drugim jest ściśle powiązane.

– Nawrocki i szefowie jego gabinetu mają świadomość, że mogą przejąć rząd dusz nad prawą stroną, że Jarosław Kaczyński jednak przestaje dawać radę. Ale nie wieszczę końca Jarosława Kaczyńskiego. Natomiast jest bliżej końca niż początku. W związku z tym Karol Nawrocki wszedł tu ze swoją polityką, „z buta”. Zresztą jest to bardzo dobre z punktu widzenia jego PR-u politycznego – mówił już w styczniu tego roku w podcaście „Strefa Wpływów” ekspert ds. marketingu politycznego dr Mirosław Oczkoś.

W artykule opublikowanym w środę, 5 sierpnia, na stronie internetowej francuskiego dziennika „Le Monde” czytamy, że Karol Nawrocki

„nie ukrywa swoich ambicji zdominowania całej polskiej prawicy, nawet jeśli oznacza to okazanie pobłażliwości rosnącej w siłę skrajnej prawicy”.

I nie są to słowa na wyrost. Jak wynika z najnowszym sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 20,4 proc. badanych uważa, że to Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Na prezydenta wskazało więcej osób niż na Jarosława Kaczyńskiego, który zdobył 19,8 proc. głosów. Największy odsetek Polaków uważa jednak, że polska prawica nie ma dziś jednoznacznego przywódcy.

Karol Nawrocki w ogóle cieszy się popularnością wśród Polaków. Rok po jego wyborze na urząd prezydenta utrzymuje bardzo wysokie notowania. Pod koniec lipca CBOS podał, że jego działalność pozytywnie ocenia aż 56 procent badanych. To najwyższy wynik głowy państwa od początku jego kadencji. Podobnie jest w przypadku rankingów zaufania. Badanie IBRIS dla Onetu, opublikowane w ostatnim tygodniu lipca, pokazuje, że Nawrockiemu ufa 51,3 procent ankietowanych, co jest najlepszym wynikiem wśród polityków. Jednocześnie nieufność wobec prezydenta deklaruje 41,6 procent badanych.

To świetny wynik. Karol Nawrocki buduje się politycznie, chwali dobrymi relacjami z prezydentem Donaldem Trumpem, jeździ po Polsce i świecie. Jest tylko jedno „ale”: w kampanii prezydenckiej zapowiadał, że chce być prezydentem sprawczym i aktywnym. Póki co, jego aktywność sprowadza się głównie do wetowania ważnych dla rządu ustaw i wychodzenia z inicjatywami, które z góry skazane są na porażkę i z których kompletnie nic dla nas nie wynika. PAP

REKLAMA

0011550896

NIEZWYKŁA POLSKA!

Interaktywny Przewodnik Turystyczny Lato 2026

Odkryj wyjątkowe zakątki w letniej odsłonie

- 📍 lokalne atrakcje
- 📍 turystyka przygodowa
- 📍 podróż tematyczna
- 📍 wypoczynek na łonie natury
- 📍 eko-turystyka

CZYTAJ na:
stronapodrozy.pl/przewodnik

GŁÓWNY PARTNER STRATEGICZNY

WOJEWÓDZTWO ŚWIĘTOKRZYSKIE

SPOTKANIE

Polska-Ukraina. Jest wola i pomysły, jak poprawić relacje

Anna Nagel

Paweł Kowal, przewodniczący sejmowej komisji spraw zagranicznych i szef rady ds. współpracy z Ukrainą, spotkał się w Kijowie z ministrem spraw zagranicznych Ukrainy Andrijem Sybiha. Oceniał, że po stronie ukraińskiej jest dobra wola i pomysły, jak poprawić relacje między dwoma krajami.

„Problemy są, były i będą – tak jest między sąsiadami. Naszym obowiązkiem jest je rozwiązywać ku obopólnej korzyści naszych narodów. (...)! Dziękuję Panie Ministrze za zaproszenie, za czas i możliwość pogłębionej rozmowy z Panem oraz kręgiem ukraińskich dyplomatów zaangażowanych w relacje polsko-ukraińskie. Czuło się, że jest dobra wola i pomysły, jak poprawiać nasze relacje” – napisał Kowal na Facebooku po rozmowach, które odbyły się w środę.



Spotkanie Pawła Kowala i Andrija Sybihi było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne i problematyczne kwestie w relacjach polsko-ukraińskich”

Polityk poinformował, że spotkanie było okazją, by „krok po kroku przedyskutować pozytywne (które dominują) i problematyczne kwestie w naszych relacjach

w szerszym międzynarodowym planie w kontekście ustaleń pana premiera RP Donalda Tuska i pana prezydenta Ukrainy W. (Wołodymyra) Zełenskigo.

Sybiha, komentując rozmowy z Kowalem na platformie X napisał, że ich tematem było wzmacnianie partnerstwa strategicznego, pogłębianie współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, rozwijanie praktycznych inicjatyw dwustronnych oraz utrzymywanie ścisłych kontaktów na wszystkich szczeblach.

„Bezpieczeństwo regionalne pozostaje naszym wspólnym priorytetem. Omówiliśmy praktyczne sposoby pogłębienia współpracy w tym zakresie, ze szczególnym uwzględnieniem wzmocnienia zdolności obrony powietrznej Ukrainy. Niedawne wtargnięcie rosyjskiej rakiet na terytorium Polski po raz kolejny pokazało, że rosyjska agresja wpływa na bezpieczeństwo całego regionu” – podkreślił Sybiha.

Przekazał, że rozmawiano także o odbudowie Ukrainy i większym zaangażowaniu w nią polskich firm, a także o wspólnych projektach, dla których impulsem była czerwcowe Konferencja na rzecz Odbudowy Ukrainy (URC2026) w Gdańsku.

„Pielęgnowanie pamięci historycznej oraz rozwiązywanie innych istotnych kwestii z wzajemnym szacunkiem powinny stanowić fundament silnych relacji między naszymi narodami. Jestem wdzięczny Polsce za przywództwo i wsparcie udzielane Ukrainie od pierwszego dnia pełnoskalowej rosyjskiej inwazji. Jestem przekonany, że będziemy nadal wspólnie rozwijać pragmatyczne, dobrosąsiedzkie relacje” – napisał na X.

Kowal rozpoczął wizytę na Ukrainie w poniedziałek. Spotkał się w Kijowie z wiceszefową kancelarii prezydenta Iryną Wereszczuk. Tematem rozmów były ekshumacje ofiar zbrodni wołyńskiej oraz dialog historyczny między Polską a Ukrainą, a także udział Polski w powojennej odbudowie Ukrainy.

W środę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego poinformował, że Kowal współprzewodniczył także spotkaniu polsko-ukraińskiej Grupy Roboczej ds. Godnych Pochówków, która odbyła się we Lwowie. Jego tematem było podsumowanie dotychczasowych prac prowadzonych w Ukrainie oraz polskie wnioski dotyczące poszukiwań w Uglach, Wiśniowcu, Hucisku oraz Miedziakach. Ukrainę reprezentował wiceminister kultury Iwan Werbycki. PAP

REKLAMA

0011561466

BALNEA
MEDICAL SPA

Sanatorium nowej generacji w Inowrocławiu

www.balneamed.pl

Balnea Medical SPA, wcześniej Sanatorium Modrzew, to miejsce, w którym tradycja uzdrowiskowa spotyka się z nowoczesną rehabilitacją, a każdy pobyt staje się realną inwestycją w zdrowie i samopoczucie: łączymy doświadczenie zespołu medycznego, diagnostykę oraz naturalne zasoby uzdrowiska, aby pomagać naszym Gościom wracać do formy.

NASZE PROFILE LECZNICZE

Narząd ruchu i schorzenia reumatyczne

Choroby dróg oddechowych

Krążenie i profilaktyka kardiologiczna

Rehabilitacja pourazowa i pooperacyjna

Stres, napięcie i zaburzenia snu.

**UL. MACIEJA WIERZBIŃSKIEGO 50A
88-100 INOWROCŁAW**



REZERWACJE

pobytów stacjonarnych

☎ 52 357 30 84

✉ recepja@balneamed.pl



NIEMCY

Ekstremalnie upały winne śmierci około 9,6 tys. osób. Tylko w jednym tygodniu

Anna Nagel

W następstwie ekstremalnych upałów w tygodniu od 22 do 28 czerwca, gdy w wielu miejscach w Niemczech temperatura sięgała 40 stopni, zmarło około 9,6 tys. osób. To prawie dwa razy więcej, niż wcześniej szacowano.

Pierwotnie Instytut Roberta Kocha (RKI) podawał dla tego okresu ponad 5 tys. zgonów z powodu ekstremalnych upałów.

Według RKI łącznie liczba tegorocznych zgonów związanych z upałami wzrosła do około 11,9 tys. Jak podał instytut, to znacznie więcej niż w którymkolwiek pełnym roku od 2016 r. Najwięcej ofiar upałów w Niemczech odnotowano do tej pory w 2018 roku – około 9 tys.

RKI podkreślił, że ekstremalnie wysokie temperatury

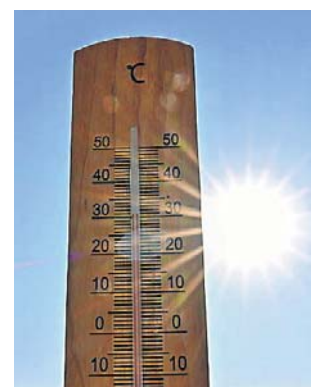
są groźne przede wszystkim dla osób starszych. Ponad 6 tys. zgonów w tygodniu pod koniec czerwca dotyczyło osób w wieku 85 lat i więcej, blisko 3 tys. osób w wieku od 75 do 84 lat. Wśród osób poniżej 65. roku życia odnotowano ponad 1,1 tys. zgonów.

Jak podał RKI, od 22 do 28 czerwca średnia tygodniowa temperatura w Niemczech

wyniosła 26,4 stopnia, to znacznie powyżej progu 20 stopni, od którego zwykle rośnie śmiertelność związana z upałami.

Z danych Niemieckiej Służby Meteorologicznej wynika, że tegoroczny czerwiec był w Niemczech drugim najcieplejszym od początku pomiarów. Odnotowano najwyższą temperaturę w historii kraju – 41,7 stopnia w Neisse-muende-Coschen (Brandenburgia), przy granicy z Polską. Noc z 27 na 28 czerwca była z kolei najcieplejsza w dziejach obserwacji.

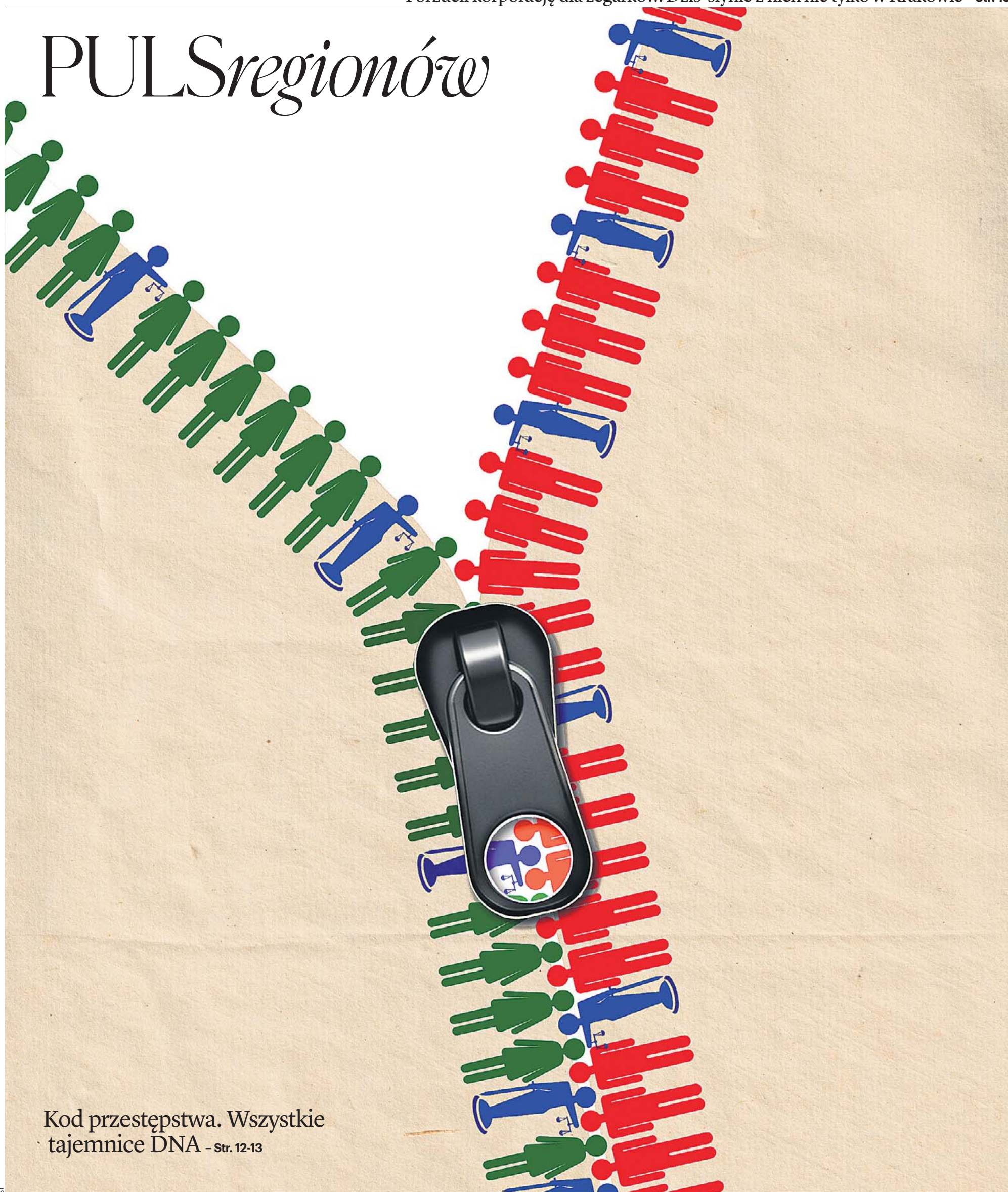
Federalna Izba Lekarska, około 80 innych europejskich organizacji ochrony zdrowia oraz organizacje ekologiczne domagają się od Niemiec i UE podjęcia większych działań na rzecz ochrony przed upałami. Apelują m.in. o dostosowanie placówek opiekuńczych, żłobków, przedszkoli i szkół do warunków klimatycznych. PAP



Ekstremalnie wysokie temperatury są groźne przede wszystkim dla osób starszych

FOT. DAREK DELMANOWICZ

PULSregionów



Kod przestępstwa. Wszystkie tajemnice DNA - Str. 12-13

FELIETON**LILIANA SONIK**
Publicystka

To jest Odyseja na miarę naszych możliwości

Odyseja jest filmem chaotycznym. To najślabszy z filmów ważnych. Nie zawsze ważne dzieła są arcydziełami. Czasem znaczenia nabiera popelina. A perfekcyjnie zaplanowany concept kończy się nieciekawym rezultatem. Bo wstępne założenia niosą konsekwencje. Zwłaszcza jeśli rzecz się rozgrywa w sferze poważnie traktowanych idei, a nie tylko nieskrępowanej logiką kreatywności. Sądzę, że „Odyseja” Nolana jest modelowym tego przykładem. Film jest chaotyczny, bo właśnie tak został wymyślony. I były ku temu dobre powody.

Wyobrażam sobie mózgowca sir Christophera Nolana rozważającego, jak w roku 2025 opowiedzieć „Odyseję” Homera. Musiał dojść do wniosku, że niewiele już nas łączy ze światem ukazanym w eposie. Inaczej myślimy, co innego nas interesuje, inne mamy priorytety i inną wrażliwość. Można byłoby tę przemianę zbiorowej wyobraźni pominąć i zrobić spektakularną ekranizację wedle starych reguł: z linearnie rozwijanym wątkiem i zazdrośnymi bogami zabawiającymi się losami posągowych bohaterów. Powstałby hollywoodzki obraz w typie fantasy i wszyscy byliby zadowoleni. Jednak teoretyczna wierność oryginałowi wiązałaby się z wielkim oszustwem polegającym na zamianie powagi Homera w relaksacyjną bajkę.

Nolan wybrał inną drogę. Film pokazuje, co zostaje z dostojnego eposu, jeśli przetłumaczy się Homera na język dziś obowiązujący. I to na wszystkich możliwych planach. Nolan poszatkował fabułę, wyeliminował bogów, męźnych Greków zastąpił dumiami, tragedię – smuteczkami, a Kalipso przeffastrygował na terapeutkę Natalię, tyle że wyposażoną w odurzające dragi.

Ciekawe, że wśród tysięcy mądrych i głupich recenzji, żadna nie zwraca uwagi na napis, który pojawia się na ekranie zanim ruszy akcja. Tymczasem jeśli doświadczony reżyser rozpoczyna film od wypisanego na ekranie motta, to znaczy, że daje nam klucz do interpretacji.

Odyseję otwiera plansza z napisem: „W czasach, gdy istniała magia...”

Istniała lecz już nie istnieje. Słowo magia można bez zmiany sensu zastąpić słowem „religia”. Wszak „religare” oznacza to, co łączy. Ludzkie wspólnoty tworzy i nadaje sens jednostkowemu życiu korpus wspólnych symboli, wierzeń i mitów. Tak było w czasach, o których opowiada Odyseja. Mamy jednak inne czasy. Dawne tropy i fundujące zasady unieważniono. Jeśli chcemy osadzić Homera w naszych odartych z magii czasach, musimy opowieść dostosować do dzisiejszych oczekiwań i wyuczonych reakcji. I zupełnie nie chodzi o drobne niewierności wobec tekstu, jak kolor skóry Heleny.

Po typowej dla ostatnich 60 lat dekonstrukcji z eposu został tylko fabularny szkielet, wypełniony treściami należącymi do innego – naszego – świata.... W filmie nie ma bogów, ani metafizyki, ani greckiej pobożności. Pozostały za to potwory. Czy współczesny widz nie kocha Godzilla? Czy horrory nie sprzedają się świetnie?

Bez mitu, bez magii, z archetypami, które są tylko powidokiem – struktura opowieści się kruszy, pruje i rozpada na mikro-wątki przygodowe... Utożsamienie z tym światem jest niemożliwe. Ironia i dekonstrukcja zabiły niewinność, naiwność i bezinteresowność odbioru.

„Odyseja” Nolana nie uskrzydla duszy. Zgodnie z demokratyczną regułą nikt tu nie jest wyjątkowy. Żadnej wyjątkowości więc i żadnego uniesienia... Odys nie jest herosem, tylko duchowo wyczerpanym aktorem Matem Damonem.

Umniejszeni i zwyczajni bohaterowie wypowiadają zdania zaczerpnięte z debat konserwatywnych elit: żyjemy w czasach po piśmie; cywilizacja upada, znikają normy, reguły, prawo, obyczaj; za to pojawia się lęk przed inwazją ludów morza i chaosem.

Zamiast wielkiego traktatu o ludzkim losie dostaliśmy film przygodowy z ostrzegawczą puentą. I tyle zostało z Homera. A Nolan zdaje się mówić: zrobiłem film zgodny z waszymi poglądami – opowieść na miarę naszych możliwości.

STOPKLATKA



FOT. PAP/PEPA/TAMAS PURGER



Motocykl z czasów II wojny światowej znaleziono na dnie Dunaju. Najlepszy dowód na to, jak niski jest stan wód w tej najdłuższej rzece Unii Europejskiej. Sytuacja o tyle krytyczna, że na Węgrzech zaczęto ograniczać pracę zakładów przemysłowych, brakuje wody dla chłodzenia elektrowni atomowej Paks. A z falami upałów zмага się cała Europa



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA



Bartłomiej Kubkowski przepłynął w pływ Bałtyk ze Szwecji do Dziwnowa. Pokonanie dystansu 160 km zajęło mu 56 godzin. W tym czasie nie spał, nie odpoczywał, nie dotykał łodzi asekuracyjnej. Bałtyk przepłynął dopiero przy piątej próbie

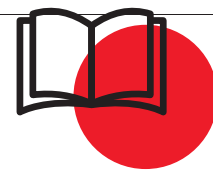


FOT. SŁAWOMIR KOWALCZYK



Cerkiew Opieki Matki Bożej w Zubaczach z charakterystycznymi srebrnymi dachami. To piękne zdjęcie znalazło się wśród fotografii pokazywanych podczas wystawy Visio Mentis 2026 we Włoszech. Na tej wystawie zebrano twórców z krajów europejskich (trzech z Polski), którzy mają jeden cel: przywrócenia fotografii jej zdolności do podkreślania wagi miejsc i zdarzeń

NA PÓŁCE



Dina, Dina
Agata Romaniuk
wydawnictwo W.A.B.

O czym jest ta książka? Bo przecież nie o wojnie. Nie tylko o wojnie w Ukrainie. Jest o świecie, który nagle runął, o dwóch światach, które nigdy się nie zrozumieją. Bo ci, którzy żyją w pokoju, nie rozumieją tych, którzy ukrywają się w piwnicach, a zasypiają dzięki systemom zagłuszającym naloty. O dojrzewaniu, tożsamości, miłości, o rozczarowaniu, o niespełnionych pragnieniach. Agata Romaniuk zagarnia mnie tą opowieścią bez reszty i tak mocno, że traci się oddech, że w brzuchu rodzi się złość, że pęka serce. Książki nie zbawiają ani świata, ani ludzi, ale nie pozwalają zapomnieć, i ja nie chcę zapominać. KACHEL



MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
publicysta



Dobra, szatańska liczba

Pcha wózek, patrzy w telefon, nawet okiem na jezdnię nie rzuciła. I wjeżdża na przejście, pewnie nawet nie wie, że auta po obu stronach hamują. A dzidzia w wózku, patrzy mi w oczy ciумkając smoczka. 200 metrów dalej sytuacja się powtarza. Tym razem znów mama z oczami w telefonie, znów wózek, ale za to dzieci dwójka. Auta hamują, pani radośnie coś tam komuś odpisuje. Trzecie pasy. Tym razem tata, dryblas, ciągnie rezolutnego chłopczyka. Może 4 lata. Kręcone włoski, ciekawskie spojrzenie. Mierzy moją srebrną strzałę od kół po dach, pewnie fachowo zastanawia się nad pojemnością silnika i zużyciem bieżnika. Ojciec nie, ojciec tkwi w telefonie. Pal licho, że na przejściu. Gorzej, że w połowie pasów uznaje, że należy skrócić dystans i maszeruje dalej, ciągnąc za sobą malca, środkiem jezdni. Auta stoją. Nikt nie trąbi, choć każdy ma ochotę. Bo po co straszyć synka, kiedy ojciec gapa.

Inie, nie będzie to kolejna opowieść o ludziach, którym życie przepływa przez telefony, a prawdziwe ucieka. Jeszcze 10 lat temu to byłaby historia tragiczna. „Jednego dnia, w średniej wielkości mieście wojewódzkim, pod kołami samochodów zginęło troje dorosłych i czworo małych dzieci. Mimo prowadzonej reanimacji nie udało się przywrócić funkcji życiowych potrąconych osób. Funkcjonariusze policji stwierdzili, że piesi nie zachowali niezbędnej ostrożności i wtargnęli na jezdnię. W co najmniej jednym z przypadków kierowca przekroczył dozwoloną prędkość, a inny złamał przepisy, wyprzedzając na przejściu dla pieszych”. Mniej więcej tak wyglądałaby notka sporządzona przez znudzonego wypadkami reportera. Bo ileż można.

Ale stało się coś dziwnego. Pierwsze półrocze tego roku upłynęło pod znakiem szatańskiej liczby 666. Tyle osób zginęło na polskich drogach w tym czasie. I jest to wiadomość... optymistyczna. Bo to był historycznie najmniejszy odsetek wypadków i ofiar śmiertelnych od czasu, gdy w Polsce zaczęto to mierzyć. Od roku 1997 do dziś, liczba wypadków spadła o ponad 69 procent. Liczba ofiar śmiertelnych w tamtym roku wyniosła, uwaga, 7311. Jeśli nawet te 666 trupów z pierwszej połowy tego roku, do 31 grudnia się podwoi... to będzie przecież 6 tysięcy osób zabitych mniej. Wiele tysięcy osób rannych mniej. Przełom!

W tym państwie z kartonu sklejonego szpagatem, gdy jeden rząd wyrwca wszystko, co robi drugi, gdzie prezydent zawetuje każdy przepis rządu, zgoda dotycząca bezpieczeństwa okazuje się prawdziwa. I nie chodzi, jak widać, tylko o to militarne, a to jak najbardziej przyziemne. To długa historia dobrych decyzji – pewnie jakies złe po drodze były również. Niedawno pisaliśmy o historii światła ulicznych, które w Polsce pojawiły się dopiero w dwudziestolecie międzywojennym, tak samo jak na świecie, od razu drastycznie zmniejszając liczbę wypadków. Ale przez ostatnie 30 lat mieliśmy dużo więcej dobrych zmian. Obowiązkowe pasy w samochodach – tak, tak, kiedyś były nieobowiązkowe. Obowiązek jeżdżenia przez cały rok na światłach. Brak taryfy ulgowej dla kierowców jeżdżących na podwójnym gazie. Ograniczenie prędkości w terenach zabudowanych – tak, strefa tempo 30 to jest przy potrąceniu pieszego różnica między życiem i śmiercią. Fotoradary i odcińkowe pomiary prędkości. Konfiskata samochodów. I wreszcie przepis, który miał się nie udać. Bezwzględne pierwszeństwo pieszych na przejściu. Mieliśmy mieć festiwal wariatów za kółkiem. Owszem, czasem zdarzy się kretyn, który brak wyobraźni i umiejętności nadrabia prędkością. Dla takich ludzi jest sąd i więzienie, o ile sami się nie wyeliminują z puli genetycznej. Ale przepis o pierwszeństwie pieszych na pasach działa. Nawet jeśli jeden z drugim sami łamią przepisy, gapiąc się w ekraniki.

Z CZEGO JUTRO ...? 300. ARTYKUŁ Z TEGO CYKLU

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha



Zasady programu dobrostanu, czyli „bogactwo obywateli, głupcze!”

Obecny system sprawowania władzy i organizacji działalności państwa nie jest w stanie zagwarantować obywatelom nawet fizycznego bezpieczeństwa, a z roku na rok utrudnia tworzenie dobrobytu powstającego wyłącznie z ich pracy i przedsiębiorczości. Miarą sprawczości systemu stały się prowokacje i represje urządzane przez jego biurokratyczny aparat wobec firm. Osłabianie i blokowanie naturalnych źródeł bogactwa narodu polskiego skomplikowanymi i podwyższanymi nieustannie podatkami oraz mnożeniem przepisów, nierzadko bez podstawy w prawie unijnym, stało się praktyką kolejnych rządów i parlamentów. Skrajne sformalizowanie działalności gospodarczej najmniejszych rozmiarów jak w przypadku SENT prowadziło do fizycznej likwidacji polskiej przedsiębiorczości.

Nawet długotrwała wojna tocząca się tuż za granicą państwa polskiego nie doprowadziła między ugrupowaniami zasiadającymi w parlamencie do konsensusu – na miarę coraz dramatyczniejszej powagi sytuacji wraz z kolejnymi wlatującymi na teren Polski pociskami manewrującymi – i racji stanu, co tylko potwierdza głęboką dysfunkcjonalność systemu sprawowania władzy, w którym doraźne partyjne interesy mają pierwszeństwo przed wielopokoleniowymi interesami obywateli. Bezpieczeństwo państwa zaczyna się od bezpieczeństwa gospodarczego jego obywateli, które wobec anarchizacji działań aparatu sądowiczego działającego na krawędzi chaosu od dawna nie jest chronione zwłaszcza przed nadużyciami władzy. W praktyce tzw. sądownictwo rozstrzyga spory w sposób urągający Międzynarodowemu Paktowi Praw Obywatelskich i Politycznych.

Wiarygodność instytucji państwa przy drapieżności ich poczynań wobec obywateli oceniana tylko przez pryzmat zachowań sądowej opriczyny i w tzw. publicznej służbie zdrowia dawno przekroczyła kolejne punkty krytyczne. Traktowanie obywateli jawnie przedmiotowo i instrumentalnie, którzy dla aparatu władzy są przede wszystkim płatnikami składek i innych podatków prowadzi do odtworzenia podziału z czasów komunistycznego reżimu na „my i oni”. Stan ten od dekad pogłębiają przepisy i praktyki władz traktowania polskich obywateli, a zwłaszcza przedsiębiorców zauważalnie gorzej niż obywateli obcych państw działających w Polsce.

Pierwszą z zasad Programu Społecznego Dobrostanu „Bogactwo obywateli, głupcze!” jest likwidacja

dyskryminacji prawnej, podatkowej oraz w dostępie do usług publicznych polskich obywateli i przedsiębiorców. Jeżeli rządy przyznały przywileje obywatelom i firmom z innych państw, to te same należą się z mocy konstytucji obywatelom Polski.

Drugą z zasad jest uchwalanie tylko takiego prawa, które w udokumentowany sposób oszczędza czas i pieniądze obywateli. Najcenniejszym, a zarazem najbardziej marnowanym zasobem jest ich praca i czas. Rosnącymi podatkami i mnożonymi przepisami systematycznie niszczona jest moralna motywacja do pracy i przedsiębiorczości, które są ostoją rozwoju również w czasach AI. Trzecią z zasad jest objęcie konstytucyjną ochroną pracy i przedsiębiorczości obywateli Polski, które są prawdziwym źródłem bogactwa narodu polskiego. Programy społeczne nie mogą zastępować pracy i mają charakter wyłącznie interwencyjny. Dziś prowadzą do patologicznego klientelizmu politycznego finansowanego z nieustannego zwiększania redystrybucji bogactwa przez aparat.

Ostatnią z zasad jest zmiana obecnego ustroju na prawdziwie demokratyczny oddający obywatelom kontrolę nad władzą na wzór sprawdzonych rozwiązań Konfederacji Szwajcarskiej, w tym z korzystaniem na co dzień z instytucji referendum. Zmiana ordynacji wyborczej na większościową z jednomandatowymi okręgami wyborczymi utożsamia zastąpienie dotychczasowej władzy sprawowanej w imieniu społeczeństwa władzą realizowaną w interesie obywateli.

Trwały rozwój, a nie tylko przelotnie dodatni, jest konsekwencją dobrego rządzenia oraz uczciwych i trwałych zasad. Skuteczność władzy interesu społecznego mierzy się skróconym czasem pracy potrzebnym obywatelowi na utrzymanie rodziny oraz tym, ile więcej z wypracowanego przez niego bogactwa pozostaje w jego kieszeni, a nie w budżecie państwa.

Obywatele potrzebują przywódców, którzy przestaną ich traktować jako źródło dochodów budżetowych, a zaczną traktować ich dobrostan jako miarę własnego sukcesu oraz trwałego miejsca dla siebie w historii narodu polskiego.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 roku.

Wasył Bodnar, ambasador Ukrainy w Polsce: Jesteśmy sąsiadami, mamy za sobą trudną historię. Obecny kryzys jest jednym z najpotężniejszych, gdyż rzutuje na wszystkie wymiary współpracy



FOT. AMBASADA UKRAINY W WARSZAWIE

KRYMINOLOGIA

Gdyby śledczy mieli dostęp do badań DNA wszystkich ludzi, właściwie nie byłoby niewyjaśnionych spraw

Kod DNA. Odcisk, który zawsze prowadzi do sprawcy

Zabójstwo Izy Strzałkowskiej było jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych ostatnich dekad. Jej rozwiązanie – to moment historyczny nie tylko dla polskich śledczych. Najprawdopodobniej drugi raz w Europie udało się schwycić sprawcę dzięki genealogii genetycznej

Dorota Kowalska

Tą sprawą żyją media od kilku tygodni. Po 15 latach zatrzymano zabójcę Izy Strzałkowskiej z Gdyni. Trudno się dziwić tym emocjom – po raz pierwszy w Polsce udało się ująć sprawcę dzięki genealogii genetycznej. To drugi taki przypadek w Europie, pierwszy miał miejsce w Szwecji.

Warto wrócić do tej historii. 19 października 2004 roku mieszkańcami szwedzkiego Linköping wstrząsnęło brutalne morderstwo 8-letniego Mohammeda Ammouriego i 56-letniej Anny-Leny Svensson. Mohammeda zaatakowano, gdy siedł do szkoły, Anna-Lena próbowała interweniować, przeszkodzić sprawcy, ale ona również została zaatakowana. Oboje,

chłopca i kobietę, w brutalny sposób zadźgano.

Na miejscu zabezpieczono DNA sprawcy, było na narzędziu zbrodni i czapce, którą pewnie zgubił na ulicy. Ale to nie posunęło sprawy naprzód. Nie było motywu, nie było innych świadków. Śledztwo utknęło na kolejnych 16 lat.

Przełom nastąpił w czerwcu 2020 roku. Wtedy genealog Peter Sjölund użył metody wykorzystującej bazy danych DNA. Znalazł osoby spokrewnione z zabójcą i tak doprowadził śledczych do Daniela Nyqvista. Aresztowany w wieku 37 lat Nyqvist przyznał się do morderstw. Tłumaczył, że jakieś głosy w jego głowie kazały mu kogoś zabić.

Na podstawie tej historii nakręcono szwedzki serial kryminalny

„Przełom”, historię opisali w swojej książce dziennikarka Anna Bodin i wspomniany już wcześniej genealog Peter Sjölund. Ich „The Breakthrough: How the Genealogist Solved the Double Murder in Linköping” („Przełom: Jak genealog rozwiązał podwójne morderstwo w Linköping”) stała się bestsellerem. Serial miał swoją premierę na Netflixie 7 stycznia 2025 roku i też już po kilkunastu godzinach był na pierwszym miejscu TOP 10 najchętniej oglądanych tytułów w Polsce na tej platformie.

„Chociaż to fikcyjny serial dramatyczny o zbrodni, to ma on przede wszystkim przedstawić ludzką tragedię. To historia o współczuciu i trosce o siebie nawzajem, które są potrzebne, aby iść dalej, gdy dzieją się straszne rze-

czy” – mówiła reżyserka serialu, Lisa Siwe, podkreślając, że „Przełom” to coś więcej niż tylko dramat kryminalny.

Tożsamość sprawcy

Czy o pracy śledczych przy sprawie Izy Strzałkowskiej też powstanie książka albo trzymający w napięciu film kryminalny? Niewykluczone. Jest w tej historii wszystko: dramat, emocje, ciężka praca policjantów i zaskakujące zwroty akcji.

23 sierpnia 2011 roku 13-letnia Iza wyszła z domu, żeby odprowadzić koleżankę na pobliski przystanek w gdyńskiej dzielnicy Dąbrowa. Wtedy po raz ostatni widziała się z bliskimi. Długo nie wracała, więc rodzina zaczęła jej szukać. Ciało Izy, jeszcze tego samego dnia, znaleziono obok ścieżki, którą miała wró-

cić do siebie. Dziewczynka została zgwałcona i zamordowana.

Michał Gabriel-Węglowski, gdański prokurator, zajął się sprawą 9 lat po dokonaniu zbrodni. Wiedział, że nie będzie łatwo. Miał jednak skarb: DNA sprawcy.

– Krąg potencjalnych sprawców można było liczyć w tysiącach. To były ostatnie dni sierpnia, koniec wakacji, więc jeszcze spory ruch w lasach przy osiedlu na gdyńskiej Dąbrowie, gdzie doszło do zabójstwa. Kręciły się tam wtedy przeróżne osoby. W samej dzielnicy w 2011 roku było zameldowanych ponad 14,5 tys. osób – mówił Gabriel-Węglowski w rozmowie z Wirtualną Polską.

Do tego trzeba było dodać ludzi pracujących w pobliskich firmach, mieszkańców sąsiednich miejscowości. W pierwszym śledztwie, które trwało trzy lata, pobrali DNA od 685 osób. Nic.

I w tej historii, jak w tej ze Szwecji, nastąpił przełom. Podczas wewnętrznej konferencji policyjno-prokuratorowskiej dwie policjantki z Łodzi opowiadały o metodzie genealogii genetycznej. Stosunkowo nowej, ale stosowanej na świecie – to dzięki niej genealog Peter Sjölund trafił na Daniela Nyqvista, zabójcę z Linköping.

Metoda opiera się na szukaniu pokrewieństwa pomiędzy osobą, od której pochodzi pobrany materiał genetyczny – w tych wypadkach sprawcach zabójstw, a ludźmi, któ-

rzy zostawiają swoje DNA w bazach genealogicznych.

– Porównuje się profil osoby A z profilem osoby B, obliczając jednostki zbieżności, tzw. centymorgany. Im wyższa ich liczba, tym większe prawdopodobieństwo, że dwie osoby są blisko spokrewnione w naszych życiowych relacjach – tłumaczył prokurator w WP.

W przypadku zabójstwa Izy Strzałkowskiej domniemany morderca miał zbieżność z kilkunastoma osobami z amerykańskich baz DNA, pewnie miały polskie korzenie. Po ich zidentyfikowaniu biegli stworzyli drzewo genealogiczne, które miało połączyć wytypowanych ze sprawcą.

– Najstarsza osoba na tym drzewie urodziła się w czasie rewolucji francuskiej, w 1790 roku. Cofnęli się więc o niemal 250 lat. Na tym ogromnym drzewie, wokół kilkunastu wyjściowych osób, znalazło się w sumie około 10 tysięcy nazwisk – powiedział Michał Gabriel-Węglowski.

Specjaliści korzystali z państwowych archiwów i dokumentów urzędów stanu cywilnego. Łącząc te informacje z fenotypowaniem, które pozwoliło przypisać prawdopodobne cechy mordercy wskazano na jedną osobę Michała S.

Michał Gabriel-Węglowski zlecił jeszcze dwie niezależne ekspertyzy, nie chciał się pomylić, zatrzymać niewinną osobę. Obie były identyczne, to on – 37-letni dzisiaj Michał S., sąsiad ofiary.

Przyznał się do zbrodni

Mógł widywać Izę. Mieszkał w pobliżu. Może nawet mijali się na ulicy, bywali w tych samych sklepach. Od morderstwa minęło 15 lat. Michał S. prowadził ustatkowane, normalne życie. Skończył studia, miał pracę, żonę, dwójkę dzieci.

Ponoć prezentował się jako konserwatywny katolik. Chodził na występy Arki Noego, jeździł na Ogólnopolskie Spotkania Młodych Lednica – największy coroczny zjazd katolickiej młodzieży z Polski i zagranicy.

– Nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że to właśnie on mógł dopuścić się takiej zbrodni – mówili jego znajomi ze studiów.

Zapamiętali Michała S. jako osobę wycofaną, nieporadną życiowo, niezbyt bystrą, ale pracowitą. Mężczyzna miał problemy zdrowotne. Praktycznie nie słyszał na jedno ucho, na drugie – jedynie w ograniczonym stopniu.

Kolegom ze studiów rzadko opowiadał o swoim życiu rodzinnym, ale był pod wyjątkowo troskliwą opieką matki i siostry. Regularnie do niego dzwoniły, pytały o najprostsze codzienne sprawy, czy zrobił zakupy, pranie, czy ugotował obiad.

Nie był ani zabawowy, ani agresywny. Nie chodził zbyt często

na imprezy, wołał w tym czasie słuchać muzyki. Lepiej czuł się w towarzystwo kobiet, ale te relacje miały koleżeński charakter.

Kolega 37-latką, do którego dotarł „Fakt”, wspominał, że po wakacjach 2011 roku, gdy doszło do zabójstwa Izy, Michał S. wyraźnie się zmienił. Zaczął intensywnie biegać, choć początkowo często wracał ze studiów w Bydgoszcz do rodzinnego domu w Gdyni, z czasem robił to coraz rzadziej. Stał się bardziej wrażliwy emocjonalnie, źle znosił krytykę. Kolega przywoływał sytuację ze studiów, kiedy Michał S. poprosił wykładowcę o unieważnienie egzaminu, twierdząc, że część studentów wcześniej poznała pytania. Szybko ustalili, kto był donosicielem, doszło do konfrontacji, podczas której Michał S. miał się rozplakać. Był aktywny na studenckich grupach internetowych, ale po zabójstwie Izy rzadziej wchodził do sieci. Z czasem to się zmieniło.

Po postawieniu mu zarzutu zabójstwa internauci odnaleźli jego profil w mediach społecznościowych. Wynika z niego, że w 2018 roku, siedem lat po zbrodni, ożenił się. Publikował zdjęcia z życia rodzinnego.

Zatrzymany już po godzinie miał przyznać się do zabójstwa i powiedzieć śledczym, że domyśla się, czemu go ujęto. Gryzły go wyrzuty sumienia?

– Jeśli w tak poważnej sprawie człowiek niemal od razu się przyznaje, to znak, że ta sprawa w nim tkwiła. Nie ma dymu bez ognia – stwierdził – Michał Gabriel-Węglowski.

Genealogia w sukurs kryminalistyce

Prawda jest taka, że pętla wokół przestępców mocno się zaciska. Dzisiaj żaden z nich, nawet jeśli przez lata pozostawał nieuchwytny, nie może czuć się bezpiecznie. Także dzięki genealogii. Miliony Amerykanów wysyłało do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości i tak, trochę nieświadomie, doprowadzili do przełomu w kryminalistyce. Takich firm zbierających DNA jest coraz więcej, na całym zresztą świecie. Dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko – bo do sprawcy można dojść także poprzez jego krewnych. W każdym razie śledczym dzięki publicznym bazom danych DNA udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałcicieli, przestępców.

Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70. i 80., miał dokonać 100 włamań, 50

gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczili nagrodę w wysokości 50 tys. dolarów za informacje, które mogłyby przyczynić się do jego złapania. Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałcicielem z Kalifornii, a rozwiązyali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GEDmatch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa, został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzynaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatnio widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków – nic.

Wiele lat później, biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wysłali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazano śledczym nazwiska krewnych podejrzanego. Było to o tyle trudne, że sprawcą był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop do samochodu. Chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Tożsamość ofiary

Genealogia pomaga dzisiaj ustalić nie tylko dane sprawcy, ale także ofiary.

Trzy lata temu głośno było o najstarszej nierozwiązanej sprawie w Filadelfii w USA, chodziło o słynną historię „chłopca z pudełka”. Ciało malca zostało znalezione w kartonowym pudełku 25 lutego 1957 roku. Było nagie, owinięte

w koc, pokryte siniakami i ranami. Wiek chłopca oceniono na cztery do sześciu lat. Wyglądał na niedożywionego. Miał krótkie, jasne, zmierzwiłone włosy i niebieskie oczy. Śledczy nie mieli wątpliwości, że dziecko musiało być maltretowane, a potem pobite na śmierć.

Plakaty ze zdjęciem chłopca rozwieszono w całej Filadelfii. Cisza. Nikt nie znał tego dziecka, nikt go nie szukał.

Pojawiło się szereg teorii na temat śmierci malca. Policja liczyła, że ktoś zgłosi zaginięcie, jednak nic takiego się nie stało. Mimo zakrojonego na szeroką skalę śledztwa, nie udało się ustalić ani tożsamości chłopca, ani też tego, kto mógł stać za jego śmiercią. „Chłopiec w pudełku” spoczął na filadelfijskim cmentarzu, na jego grobie napisano jedynie: „Niebiański Ojciec pobłogosław tego Nieznanego Chłopca”.

Śledczy się nie poddawali, sprawdzali dziesiątki tropów. Przeprowadzano ekshumację 4-latka. Dochożenia nigdy nie zawieszono. Wreszcie po sześćdziesięciu pięciu lat na podstawie badań DNA udało się ustalić tożsamość chłopca. To Joseph Augustus Zarelli, urodzony 13 stycznia w 1953 roku.

– Nie jest już chłopcem z pudełka. Ma imię – oświadczył William Fleisher z grupy dochodzeniowej.

Wiadomo, że oboje rodzice Josepha zmarli, żyje natomiast jego rodzeństwo. Rodzina 4-latka mieszka w zachodniej Filadelfii. Policjanci mają nadzieję, że teraz śledztwo ruszy do przodu. Wiadomość o tożsamości malca została podana do wiadomości publicznej, może więc zgłosi się ktoś, kto wie coś o sprawie, coś słyszał, zauważył. Trzeba ustalić, kto zabił to dziecko.

Albo inna historia: na początku 2023 roku policjanci z zespołu badającego tzw. cold cases, czyli niewyjaśnione sprawy sprzed lat, ustalili tożsamość kobiety, którą zamordowano w 1995 roku.

– W ciągu 27 lat funkcjonariusze, którzy obecnie są już na emeryturze, a następnie także nasz zespół zajmujący się rozwiązywaniem „cold cases”, pracowali, by ustalić tożsamość ofiary. I to, kto jest sprawcą morderstwa – tłumaczył Pat Withrow, szeryf kalifornijskiego hrabstwa San Joaquin.

Ofiara została zidentyfikowana jako Amanda Lynn Schumann Deza. W momencie śmierci kobieta miała 29 lat. Była matką trojga dzieci, z mężem pozostawała w separacji.

Jej ciało w marcu 1995 roku zostało odnalezione w lodówce porzuconej w kanale irygacyjnym w miejscowości Stockton w Kalifornii. Zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu. Wówczas nie udało się ustalić tożsamości ofiary, a śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Przełom nastąpił dopiero po niemal trzech dekadach, gdy sprawą

zajął się utworzony przez Biuro Szeryfa Hrabstwa San Joaquin zespół badający nierozwiązane zagadki kryminalne sprzed lat. Jak doszło do przełomu? Otóż specjaliści od analizy DNA z laboratorium Othram z Teksasu, z którym współpracowali śledczy, stworzyli tropy genetyczne prowadzące do kobiet mogących być spokrewnionymi z ofiarą. Analiza dostarczonych przez nie próbek materiału genetycznego wykazała, że zwłoki należały do Dezy.

Choć tożsamość zamordowanej kobiety została ustalona, nadal nie wiadomo, kto odpowiada za tę zbrodnię.

Dzięki badaniom DNA udało się zidentyfikować także inną kobietę, którą w 1978 roku znaleziono martwą w stanie Massachusetts. Patricia Ann Tucker, wówczas 28-letnia, przez dziesięciolecia była znana jako „Granby Girl” od nazwy miasteczka, w którym znaleziono jej ciało. Kobieta została zastrzelona i pochowana w bezimiennym grobie. Sekcja zwłok wykazała, że ofiara miała od 19 do 27 lat. Jej tożsamość przez lata pozostawała tajemnicą.

W 2021 roku śledczy odnaleźli kobietę mieszkającą w Maryland, która prawdopodobnie była z nią spokrewniona. Krewna powiedziała policji, że jej ciotka zaginęła w latach 70. i podała dane dwóch synów kobiety. Jeden z nich, Matthew Dale potwierdził, że ofiara to jego matka, Patricia Tucker, która zaginęła w 1978 roku. Porównanie DNA mężczyzny z DNA kobiety dało 100 proc. zgodności w teście rodzic-dziecko.

„Przynajmniej teraz, po latach, mam kilka odpowiedzi. To dużo do przetworzenia, ale mam nadzieję, że zamknięcie jest już blisko” – napisał w oświadczeniu syn kobiety Matthew Dale.

– To postępy w kryminalistyce, a w szczególności w kryminalistycznej genealogii genetycznej, dostarczyły nadziei na identyfikację ofiary – powiedział pierwszy zastępca prokuratora okręgowego Northwestern Steven Gagne.

Śledztwo w sprawie śmierci wciąż jednak trwa. Zamordowana była żoną Geralda Colemana, który nigdy nie zgłosił jej zaginięcia. Był skazany pod zarzutem gwałtu i napadów, zmarł w więzieniu w 1996 roku i, jak twierdzi policja, mógł być „osobą zainteresowaną” morderstwem swojej żony.

W policyjnych archiwach na całym świecie leżą tysiące niewyjaśnionych spraw. W większości z nich zabezpieczono na miejscu zdarzenia DNA mordercy, gwałciciela, złoczyńcy. Dzisiaj można do niego trafić dzięki badaniom kodu genetycznego i genealogii. Dlaczego śledczy coraz częściej otwierają pudła z dowodami, na których ktoś lata temu napisał: „cold cases” i dochodzą do prawdy.

OBYCZAJE

Urlop nad Bałtykiem jak ruletka. Upał i sztorm. Wywiało nawet paragony grozy

– Nigdy więcej nie przyjadę nad Bałtyk, zimno. Pogoda urządziła nam survival, a nie spokojne wakacje – mówi młody turysta. Kilka dni później upał i taki komentarz innego turysty: – Tylko polskie morze, piękne, szerokie plaże. Za rok znów tu będziemy

Agnieszka Domka-Rybka

Kto już pojechał w tym roku na wakacje nad Bałtyk, będzie wiedział, o czym mówię. Dostałam pakiet „premium”. Trafiłam na deszcz, wiatr, sztorm i upał. Tyle pogodowych atrakcji w zaledwie tydzień! Brakowało tylko śniegu i gradu do kompletu.

Zwykle jeżdżę do nadmorskich „pipidówek”, ale przed laty byłam w Łebie i zapragnęłam znów tam pojechać. Przywitał mnie deszcz, a właściwie ulewa. Pierwszym zakupem musiał być płaszcz przeciwdeszczowy. Foliowe peleryny królowały na straganach, zasłaniając mniej chodliwe przy takiej aurze produkty plażowe, jak m.in. parawany, dmuchańce, leżaki, klapki czy chroniące przed słońcem parasole – teraz wzięcie miały zdecydowanie te z przeciwdeszczową misją ratunkową.



AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Gniotki pokonały pluszowe gęsi i stworki Labubu

Przy jednym ze straganów usłyszałam płacz czy raczej krzyk dziecka i zobaczyłam jego mamę u kresu wytrzymałości: – Pół dnia w wesołym miasteczku, 200 zł, po drodze straż pożarna na monety, kręcone ziemniaki i teraz te obrzydliwe gniotki, nie wytrzymam! – kobiecie wyraźnie puściły nerwy.

Jakie gniotki? Tę wiedzę muszę poszerzyć dzięki AI. Ponoć hitem straganów nad Bałtykiem w sezonie 2026 są kolorowe i elastyczne gniotki sensoryczne Squishy Dumpling, nazywane potocznie „pierzochkami”. Zastąpiły one popularne w poprzednich latach pluszowe gęsi, kapibary oraz kolekcjonerskie stworki Labubu.

Ojciec chłopca szybko znalazł winnego, a bardziej winowajczynię odpowiedzialną za gołenie portfeli: – Przy wspaniałej pogodzie siedzielibyśmy długo na plaży i tyle pieniędzy by nie szło. Ale z drugiej strony, gdybyśmy pojechali, jak rok temu, do Osetnika (plaża Stilo), to co by tam robił nasz Janek w taką ulewę? Dziura nad morzem. Co z tego, że to jedno z ostatnich dzikich i pustych miejsc nad morzem? By się dzieciak nudził, a w Łebie ma liczne atrakcje. I będzie miał co kolegom opowiadać. A za przyjemności trzeba płacić. Kto nie ma miedzi, ten w domu siedzi.

W niepogodę najazd klientów na pewno przeżywają wszelakie budki gastronomiczne, jak np.

Gdy znów pada, to... cieszą się właściciele piekarni i cukierni

z goframi. Być nad morzem i nie skusić się na bałtyckiej klasyka? Wszak Bałtyk smakuje goframi! Pachną na każdym rogu i kuszą kubki smakowe.

Wersja na wypasie, czyli z bitą śmietaną i owocami kosztuje 26 zł. Dużo? Dwa, trzy lata temu też jadłam za tyle, ba, trafiały się goferki i za trzy dyszki. W kolejce po tę słodkość słyszę rozmowę pary czterdziestki plus:

– Ostatni raz jestem nad polskim morzem. Znów pech, zimno! Co roku to samo! Pogoda urządziła tu survival, a nie wakacje – irytował się chłopak w białej, markowej bejsbolówce z wielkim, czerwonym parasolem w rękę. – Do tego kicz i dziadostwo na każdym kroku, drożyzna. Śmierdzi starym olejem i wędzonymi rybami. Fuij! Nigdy więcej Bałtyk!

– Ten urlop to test wytrzymałości psychicznej. Polski Bałtyk nie jest wart tych cen – komentowała kobieta w ponczu przeciwdeszczowym w malowane surrealistyczne usta, które skojarzyły mi się z Dalím.

Wysokie ceny nad morzem? Stojąc się codziennie w innym miejscu, jadłam dwudaniowe obiady w cenie ok. 40 zł, dwa razy w zestawie była też lemoniada. Naprawdę, trudno nazwać taki rachunek „paragonem grozy”. Zresztą, w Łebie jest tak duża konkurencja, że turyści mogą wybierać między rybami, schabowymi, pizzą, pierogami, su-

shi, a jak komuś za drogo, zawsze może iść do Żabki na hot doga XL. Paragon za bułkę z parówką nie zepsuje humoru. Ale można go za to stracić na plaży, gdy sztorm, gdy leje i wieje.

Lepiej jest, gdy „tylko” wieje, ale wtedy można odlecieć razem z parawanem, wiatr porywa też dmuchane piłki, koła czy materace. Fruwają też flamingi. Dzieci płaczą, a rodzice ratują, co się da. Nie zawsze się da. I znówu ryk!

Gdy jest zimno, ludzie odwołują rezerwacje, inni pakują się i wyjeżdżają. Pensjonaty robią się puste, a naprawdę sporo się tego wybudowało w Łebie i cały czas buduje. Wczoraj ciemne okna widać głównie w apartamentach, bo wczasowicze wybierają jednak tańsze kwatery i ośrodki wypoczynkowe. Koszt pokoju przy takiej konkurencji to żadne tam zdzierstwo.

Nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu

Pewnego dnia wychodzi słońce. Deszcz przestaje padać. Wiatr przestaje wiać. Fale leniwie suną po wodzie. Morze nie grzmi i nie szaleje. Plażowicze szaleją. I od razu inaczej układają się plażowe dyskusje. Czuć przyjemną atmosferę, jak np. między dwiema koleżankami, które spacerują brzegiem morza z pieskami rasy chihuahua. Nie wiem, co mam



AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Wakacje bez gofra nad Bałtykiem? To jest niemożliwe. 26 zł: drogi?

do tych psiazków... Dlatego zupełnie odwracam od nich wzrok i skupiam się na rozmowie dziewczyn.

– Nie ma to jak Bałtyk, nigdzie indziej na świecie nie ma takiego klimatu. Jest cudowny! Kocham za szerokie plaże. Za rok też przyjadę. Przyjedziemy, prawda, Coco? – mówi młoda dama do swojej chihuahua'y.

Druga z pań wspomina obiad: – Spora porcja flądry z frytkami i surówką za 49 zł to jedzenie za bezcen. „Paragony grozy” nad Bałtykiem? Jakże „paragony grozy?”

Wygląda na to, że słoneczna pogoda sprawiła, że ci, którzy już żegnali się z Bałtykiem na zawsze, pokochali go z dnia na dzień na nowo. Za rok znów będą przeciskać się w tłumie.

Ile w tym roku wydamy na wakacje?

Wydamy 2024 zł na osobę – wynika z raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2026”, opracowanego przez Związek Banków Polskich. Wakacje będą droższe, bo rok temu to było 1761 zł (o 281 zł mniej). Przeciętne gospodarstwo domowe planuje przeznaczyć 5 105 zł, tzn. o ponad 700 zł więcej niż rok temu – to wzrost o 16 proc. Aż 80 proc. nie planuje na wakacje wziąć kredytu czy pożyczki. To, zdaniem autorów raportu, ważny sygnał, pokazujący utrzymującą się wysoką świadomość

finansową gospodarstw domowych.

ZBP radzi też, aby na wakacjach chronić swoje pieniądze i dane osobowe. Nawet najbardziej zaawansowane zabezpieczenia nie zastąpią naszej ostrożności i rozwagi, m.in. podczas korzystania z bankomatów i terminali płatniczych. Oszuści podszywają się również pod znane firmy, właścicieli obiektów noclegowych czy popularne platformy rezerwacyjne, licząc na to, że użytkownik podejmie decyzję bez dokładnej weryfikacji otrzymanej wiadomości. Uwaga na fałszywe strony internetowe łudząco przypominające znane serwisy rezerwacyjne, których celem jest wyłudzenie danych logowania lub danych karty płatniczej. Kolejne oszustwo polega na przejęciu kont właścicieli obiektów noclegowych i wysyłaniu próśb o dopłatę lub ponowną autoryzację płatności poza oficjalną platformą. Trzeci schemat to publikowanie fałszywych lub wprowadzających w błąd ofert noclegowych, które kończą się utratą pieniędzy lub rozczarowaniem po przyjeździe na miejsce. Sprawdzajmy wszystkie informacje.

A na koniec dobra rada dla tych, którzy dopiero wybierają się nad Morze Bałtyckie. Polecam zabrać kostium kąpielowy, kurtkę przeciwdeszczową, bluzę, czapkę, trochę pieniędzy i... odrobinę dystansu. ©

PASJE

Porzucił korporację dla zegarków. Dziś słynie z nich nie tylko w Krakowie

Czas odmieniany jest tu przez wszystkie przypadki. W pracowni Michała Napierały przy ul. Starowiślnej w Krakowie czas jest niemalże namacalny, twórca zegarków zamyka go w minimalistycznej drewnianej formie. Ręcznie wykonywany każdy etap pracy – od wycinania formy, przez szlifowanie, aż po umieszczanie w drewnianej oprawie serca zegarka – to jego czas, który oddaje swoim dziełom i ich przyszłym właścicielom. A gdyby ktoś, wstępując tu, chciał zrozumieć czas – na półce stoją adekwatne lektury. Tylko tykania zegarów nie słyszeć

Anna Piątkowska

– Czy czas istnieje? Istnieje, tylko nie wiem jak. Kiedy w dzieciństwie słyszałem w kościele o życiu wiecznym, zastanawiałem się, jak to możliwe. Potem, w podstawówce, pojawiła się fizyka i choć zawsze miałem z niej trójkę, o literce t wiedziałem więcej niż inni.

Wiele lat później czas Michał Napierała uczynił przedmiotem swojego zawodowego zainteresowania. 15 lat temu rzucił korporację, by robić drewniane zegarki. Kiedy rozmawiamy – pod koniec lipca 2026 roku – właśnie pracuje nad 4883 czasomierzem. Choć podobne do siebie, każdy egzemplarz jest unikatowy, ma też swój numer. Materiał, z którego są wykonane zegarki, zapisuje też czas swojego właściciela, jak stare trampki czy dzinsy. – Mam w mojej twórczości trzy poziomy czas. W ciągu jednego dnia jestem w stanie wykonać jeden zegarek – to jest cykl tworzenia. Drugi zaczyna się w momencie, gdy klient zabiera ode mnie swój zegarek – to cykl życia tego czasomierza. Bardzo ważny jest też w koncepcji mojej twórczości ten czas, który odmierzam od stworzenia pierwszego zegarka, biegnący ku nieskończoności.

Jeden zegarek dziennie

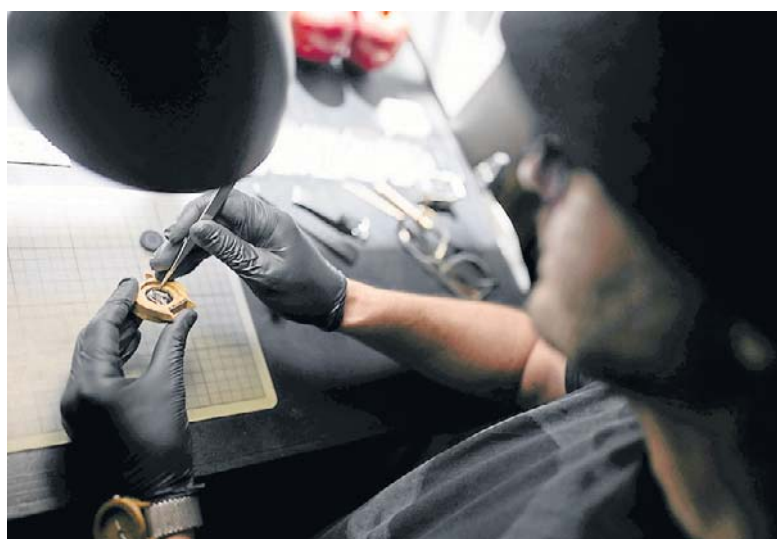
Na początku jest dębowa deska, bo dąb – jak uważa „drewniany zegarmistrz” – jest na tyle piękny, że nie trzeba go niczym zdobić. Prostota i funkcjonalność od początku są wyznacznikami przy tworzeniu czasomierzy. Ten sam model kupuje biznesmen w drogim garniturze i dziewczyna w zwiewnej sukience. Pasuje obydwójgu.

– Drewno dębowe jest osadzone w kulturze polskiej: trony robiono z dębu, jeśli dziś zachowała się stara szafka czy krzesło po dziadkach, to na pewno jest z drewna dębowego. Moje zegarki powstają w Krakowie, więc zależało mi, żeby pokazać także w tym wymiarze lokalność – to drev-no jest spod Krakowa. Do mojej pracowni zagląda wielu obcokrajowców, chcę im tę lokalność pokazywać.

Drewniane zegarki w pracowni Michała Napierały powstają w 52.



FOT. ANDRZEJ BANAS



FOT. ANDRZEJ BANAS

Michał Napierała od 15 lat wykonuje – ręcznie – drewniane zegarki

krokach – to autorska i unikatowa ścieżka – jak same zegarki. Są kroki, które trudno byłoby podrobić komuś innemu, jak choćby ten odmierzający pewien odcinek wyznaczany... fragmentem płyty Beatlesów. Nigdy nie zostały spisane, materializują się w każdym kolejnym zrobionym egzemplarzu. – Całe życie interesowałem się czasem w ujęciu filozoficznym i naukowym. Kiedy już przeczytałem wiele mądrych książek – a im

więcej ich przeczytasz, tym mniej wiesz o czasie – zabrałem się za te zegarmistrzowskie. One nie mówią wprost, jak zrobić zegarek, ale mając w głowie tę wiedzę, jesteś w stanie przebrnąć przez proces jego tworzenia – mówi Michał.

Pierwszy egzemplarz powstał w drodze swoistego eksperymentu. Michał Napierała tworzył go 8 tygodni. Działa niezmiennie od 15 lat. – Zrobiłem go dla siebie. Ktoś zoba-

czył go na mojej ręce i zapytał, czy nie zrobiłbym też dla niego. Wówczas robiłem to z pasji, po godzinach.

Ten pierwszy nigdy nie był i nie będzie na sprzedaż, ale szybko pojawiły się kolejne prośby o drewniany zegarek. Tak Michał porzucił korporację dla drewnianych zegarków. Po tych wszystkich latach uważa, że był to dobry wybór.

Kiedy pracując nad zegarkami natrafiał na kolejne problemy, przechodził je dzięki wiedzy zdobytej z książek i rozmowom z zegarmistrzami. Ale nie wszystko zawsze się udawało. Na początku wiele egzemplarzy trafiało do „pudełka smutku”. Dziś niemal nic tam nie wpada.

Festina lente

Tworzenie zegarka to samotna praca. Michał chciał to odmienić: w jego pracowni jest witryna, przez którą można, przechodząc Starowiślną, zobaczyć, jak powstaje kolejny drewniany czasomierz. – Zegarki nie czekają tu na nowych właścicieli, najczęściej to oni muszą poczekać na zegarek. Kiedy jednak kogoś zainteresuje, zajrzy do pracowni, mogę mu pokazać moją pracę – to ludzi interesuje. Czasami

przychodzą nawet nie po to, żeby kupić zegarek, ale by obserwować proces ich powstawania. Ludzi to ciekawi, bo dziś cały świat produkowany jest w Chinach, a ja wszystko tu robię ręcznie. Krok po kroku. Uczyniłem z Krakowa stolicę drewnianych zegarków, jako pierwszy w Europie takie robiłem, dopiero potem zaczęła się produkcja w Chinach.

Czas w pracowni Michała płynie w rytmie słów, krok po kroku. Każdy etap ma tu swój określony czas, niczego nie da się przyspieszyć. – Lubię to. Tu i teraz jest lepsze niż gonienie za milionami i filozofia „sky is the limit” – to nie dla mnie.

Choć, jak przyznaje, bywają miesiące, że jego sztuką zegarmistrzowską niewiele osób się interesuje. – Trzeba to przetrwać, rozłożyć w czasie. Bo czas jest po to, żeby nie wszystko wydarzyło się w jednym momencie. Praca nad czasomierzami uczy mnie pokory w stosunku do czasu.

Bywa, że do pracowni Michała zaglądają dawni klienci, czasem po to, by wymienić baterię, czasem, by powiedzieć, że zegarek od „drewnianego zegarmistrza” cały czas chodzi. Lubi zaglądać do swoich starych zegarków, sprawdzać ich mechanizm. Kiedy patrzy na numer, wie, kiedy powstał dany egzemplarz.

Czasem ludzie przysyłają zdjęcia „drewniaka” wśród kolekcji czasomierzy za dziesiątki tysięcy złotych.

Kraków uczynił go artystą

Mówi, że to Kraków uczynił go artystą. – To miasto ma taką moc. Czuję, że nigdzie indziej bym nie robił drewnianych zegarków – zapewnia.

Tuż nad warsztatem pracy wiszą portrety Michała. Instalacja artystyczna przedstawia go takim, jak był 15 lat temu, gdy zaczynał robić drewniane zegarki. Drugi wizerunek wygenerowany przez AI to Michał mający 86-88 lat. Oba portretom towarzyszy ten sam zegarek. – Wiem, co będę robił przez resztę życia. To jest mój plan. Nie chcę, żeby to zabrzmiało smutno, bo to historia o rozwoju i progresji – mówi „drewniany zegarmistrz”.

ROZMOWA

Starzenia nie da się zatrzymać... ale można z nim negocjować

Rozmowa z dr n. med. Małgorzatą Sokół – prodziekanem ds. kierunku kosmetologia w Kolegium Medycznym Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od dość brutalnie szczerego pytania. Czy istnieje zabieg – chirurgiczny albo niechirurgiczny – który jest w stanie zatrzymać starzenie?

Nie istnieje metoda, która zatrzyma biologiczny proces starzenia. Jest on naturalnym elementem funkcjonowania naszego organizmu. Z wiekiem komórki coraz wolniej się regenerują, a zdolność organizmu do odbudowy tkanek stopniowo maleje. Wynika to między innymi z faktu, że większość komórek somatycznych ma ograniczoną liczbę podziałów, określaną jako limit Hayflicka. Po jej wyczerpaniu komórki przechodzą w stan starzenia komórkowego, czyli senescen-

cji. Przystają się dzielić, ale nadal pozostają aktywne metabolicznie i wpływają na otaczające tkanki. Starzeniu sprzyjają również kumulujące się uszkodzenia DNA, skracanie telomerów oraz szereg innych mechanizmów opisanych przez współczesną biologię. Wszystko to sprawia, że nie jesteśmy w stanie zatrzymać starzenia, możemy natomiast wpływać na jego tempo i ograniczać jego skutki.

Ciekawe, pierwsze oznaki starzenia pojawiają się znacznie wcześniej, niż większość z nas przypuszcza. Już około 25. roku życia stopniowo spada produkcja kolagenu, elastyny i kwasu hialuronowego. Początkowo nie dostrzegamy tych zmian, jednak z czasem skóra traci jedność i elastyczność, a jej zdolność do regeneracji wyraźnie się zmniejsza.

Skoro starzenia nie da się zatrzymać, to czy możemy spróbować, żeby przebiegało wolniej?

Tak. Są trzy filary, które mają największe znaczenie. Pierwszy to fotoprotekcja, która jest najskuteczniejszym działaniem przeciwstarzeniowym, jakie znamy. Promieniowanie UV odpowiada za istotną część zmian widocznych na skórze, dlatego krem z filtrem SPF powinien być podstawą pielęgnacji przez cały rok. Jednak sam fakt aplikacji nie wystarczy, kluczowa jest odpowiednia porcja, odpowiadająca w przypadku twarzy dwóm liniom kremu wyciśniętym na palec wskazujący i środkowy.

Drugi filar to styl życia. Sen, aktywność fizyczna i dobrze zbilansowana dieta mają ogromny wpływ

na tempo starzenia organizmu. Szczególnie ważny jest sen – to właśnie wtedy zachodzą procesy regeneracji i naprawy uszkodzeń komórkowych – 7 godzin dziennie to absolutne minimum dla dorosłego człowieka.

Trzeci filar to indywidualnie dobrana pielęgnacja, zabiegi kosmetyczne i/lub z zakresu medycyny estetycznej. I słowo „indywidualnie” jest tutaj kluczowe. Nie istnieje jeden zabieg, który będzie odpowiedni dla wszystkich. Najlepsze efekty osiągamy wtedy, gdy medycyna estetyczna nie zmienia naszej twarzy, lecz dyskretnie wspiera to, co daje natura. Jej celem nie powinno być stworzenie nowej osoby, ale zachowanie zdrowego, świeżego wyglądu na każdym etapie życia.

Powiedziała pani, że zabiegi zawsze powinny być dobierane indywidualnie. Dlaczego?

Bo każdy z nas starzeje się inaczej. U jednych osób pojawiają się przede wszystkim drobne zmarszczki, u innych twarz traci owal, a jeszcze u innych najbardziej widoczne stają się oznaki zmęczenia. Dlatego zabieg, który u jednej osoby przyniesie świetny efekt, u innej może okazać się zupełnie nietrafiony. Wyobraźmy sobie dwie kobiety. Jedna schudła kilkanaście kilogramów i straciła objętość twarzy. W jej przypadku zabieg wolumetryczny może przywrócić naturalne proporcje. Druga ma grubszą skórę i wyraźnie opadający owal twarzy. Gdy zastosujemy dokładnie ten sam zabieg, twarz może stać się cięższa

REKLAMA

0011563965

znam.
TO UCZUCIE

Dlaczego mężczyźni operacyjnie leczą kompleksy?



AMBROZIAK
ekspert dermatologii

EICHELBERGER
ekspert psychologii

ZESKANUJ KOD



WEJDŹ NA www.youtube.com/@ZNAM-PPG

Już dziś o 20:00

**Wojciech Eichelberger
w rozmowie
z Marcinem Ambroziakiem**

i mniej harmonijna. Dlatego tak ważna jest konsultacja ze specjalistą. Najpierw trzeba ocenić kondycję skóry i sposób, w jaki się starzeje, a dopiero później dobrać odpowiednią terapię.

Mam wrażenie, że w ostatnich latach bardzo zmieniły się również trendy w medycynie estetycznej.

Zdecydowanie. Jeszcze kilka lat temu dominowała moda na mocne wypełnianie twarzy. Efekt miał być widoczny od razu – wydatne kości policzkowe, wyraźnie zarysowane usta i zuchwa, skóra napięta byleby mocniej. Dziś odchodzi się od takiego podejścia. Wiemy znacznie więcej o tym, jak zachowują się wypełniacze po latach, dlatego coraz większy nacisk kładzie się na naturalność i co za tym idzie istotne ograniczenie dawki. Wiele osób decyduje się nawet na rozpuszczenie preparatów podanych kilka lat wcześniej. Współczesna medycyna estetyczna nie dąży do stworzenia nowej twarzy. Jej zadaniem jest subtelne odświeżenie wyglądu przy zachowaniu naturalnych rysów i indywidualnych proporcji.

Czy są zabiegi, które rzeczywiście potrafią wizualnie odjąć kilka lat?



FOT. BARBARA GALUS

Dr n. med. Małgorzata Sokół jest specjalistką w dziedzinie medycyny estetycznej i kosmetologii regeneracyjnej

Tak, pod warunkiem że są wykonywane rozsądnie i we właściwym momencie. Dobrym przykładem jest toksyna botulinowa, która bardzo dobrze redukuje zmarszczki mimiczne – na czole, między brwiami czy wokół oczu. Najlepsze efekty daje jednak wtedy, gdy jest elementem profilaktyki, a nie próbą odwrócenia wielu lat zaniedbań. Medycyna estetyczna może znacząco poprawić wygląd, ale nie cofnie biologicznego czasu.

Kiedy rozmawiamy o starzeniu, trudno uciec

od emocji. Mam 48 lat i coraz częściej myślę o tym, że zbliżam się do pięćdziesiątki. To chyba pierwszy moment w życiu, kiedy naprawdę zaczynam odczuwać upływ czasu. Najbardziej obawiam się chwili, w której przestanę rozpoznawać siebie w lustrze. W środku wciąż czuję się tą samą osobą, ale twarz zaczyna opowiadać już inną historię.

Bardzo często słyszę takie refleksje od kobiet. Myślę, że większość

z nas nie odczuwa wieku tak bardzo wewnątrz, jak widzi go w swoim odbiciu. To właśnie zmiany w wyglądzie przypominają nam o upływie czasu i nie zawsze łatwo je zaakceptować. Jednocześnie zauważam, że dojrzałe kobiety coraz częściej przestają definiować siebie wyłącznie przez pryzmat wyglądu. Są bardziej świadome, odważniejsze i lepiej wiedzą, czego chcą. Zakładają firmy, realizują marzenia, podróżują i podejmują decyzje, na które wcześniej nie miały odwagi. Paradoksalnie właśnie ta pewność siebie sprawia, że wiele z nich odbieranych jest jako bardziej atrakcyjne niż wtedy, gdy miały dwadzieścia kilka lat.

Media społecznościowe nie ułatwiają zaakceptowania zmian.

To prawda. Każdego dnia oglądamy setki idealnych zdjęć – wyretuszowanych lub wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Łatwo uwierzyć, że tak powinno wyglądać starzenie, choć w rzeczywistości jest to obraz całkowicie oderwany od życia. Na szczęście obserwuję też pozytywną zmianę. Coraz więcej osób nie oczekuje spektakularnej metamorfozy. Chcą wyglądać świeżo, zdrowo i naturalnie. To kierunek, który bardzo popieram.

W przestrzeni publicznej często pojawia się określenie „starzeć się z godnością”. Co pan o nim myśli?

Mam z nim pewien problem, bo sugeruje, że korzystanie z metod wspierających wygląd lub jakość skóry mogłoby pozostawać w sprzeczności z godnością, a trudno znaleźć dla takiego założenia racjonalne uzasadnienie. Dbanie o siebie, niezależnie od tego, czy ogranicza się do zdrowego stylu życia i pielęgnacji, czy obejmuje również zabiegi z zakresu medycyny estetycznej, jest indywidualnym wyborem i nie powinno podlegać moralnej ocenie. Każdy ma prawo decydować o swoim wyglądzie i o tym, co sprawia, że czuje się dobrze we własnej skórze.

Czyli najważniejsze to nie próbować zatrzymać czasu za wszelką cenę, ale dobrze przeżyć każdy jego etap.

Dokładnie. Dbajmy o siebie, jeśli tego potrzebujemy, nie oceniamy wyborów innych i pamiętajmy, że atrakcyjność nie kończy się wraz z kolejnymi urodzinami. Często właśnie z wiekiem stajemy się najbardziej autentyczną wersją siebie.

©

REKLAMA

0011561856



Twój Czas na zdrowie

-  **Zakwaterowanie**
-  **3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego**
-  **Konsultacja lekarska**
-  **4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)**
-  **90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**
-  **Voucher do Integracja Cafe**

 **52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320**

 **medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl**

 **www.solanki.pl**

ŁÓDŹ

7-letni chłopiec 6 minut leżał na dnie basenu. Nikt nie widział...

Jak to się stało, że przez prawie 10 minut nikt nie zauważył tonącego w aquaparku 7-letniego chłopca? Sprawę wyjaśnia prokuratura, a łódzcy rodzice zastanawiają się czy ich dzieci na zorganizowanych wakacjach na pewno są bezpieczne.

Matylda Witkowska

Dotragicznego wypadku doszło w poniedziałek (27 lipca) w Aquaparku Fala w Łodzi. Właśnie zaczynał się nowy turnus letnich Wakacji na Fali. Dzieci przyszły do aquaparku wcześniej rano, zjadły śniadanie, o godz. 9 zaczęły zajęcia w wodzie z podziałem na grupy. Tuż przed godz. 10 doszło do tragicznej sytuacji – 7,5-letni chłopczyk zaczął tonąć podczas zajęć w basenie sportowym.

Dramatyczną walkę chłopca o życie nagrały kamery monitoringu – dziecko przez trzy minuty próbowało utrzymać się na powierzchni „spławikując”, czyli kolejno wynurzając się i zanurzając w wodzie. Potem opadło na dno basenu i... leżało tam przez sześć minut, przez nikogo niezauważone.

Leżącego na dnie chłopca dostrzegł dopiero przypadkowy klient Aquaparku Fala, złapał je i na własnych rękach wyniósł na brzeg basenu. Do 78-letniego Łódzianina dotarło po tragedii Radio Łódź. Okazało się, że senior pływał innym torem i kątem oka zauważył leżącego na dnie chłopca. Podpłynął do niego i pluskających się tuż obok dzieci.

– Pytam się, dlaczego tak długo leży pod wodą. Wzruszają ramionami, nie wiedzą. To szybko pod wodę i wyjąłem to dziecko – relacjonował w rozmowie z reporterką Radia Łódź.

Stan skrajnie ciężki

Wyniesionym na brzeg chłopcem zajęli się ratownicy i wezwane na miejsce pogotowie. Po trwającej aż pół godziny resuscytacji siedmiolatek został odwieziony do Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. To duży szpital, specjalizujący się m. in. w pomocy dzieciom w trudnych medycznie przypadkach. Chłopczyk trafił na oddział intensywnej terapii, gdzie został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Lekarze drugi tydzień walczą o jego życie.

– Cały czas trwa leczenie. Chłopiec jest w stanie skrajnie ciężkim, a nawet – krytycznym. Ten stan od półtora tygodnia się nie zmienił – informuje Adam Czerwiński, rzecznik prasowy szpitala.

Lekarze nie ukrywają, że sytuacja dziecka, które było pod wodą aż sześć minut jest trudna. Dla rokowań decydujący będzie stan mózgu chłopca po niedotlenieniu wynikającym z przebywania pod wodą. Ma to być



FOT. GRZEGORZ GALAŃSKI

Po wypadku w aquaparku osoby odpowiedzialne za 7-latka zrezygnowały z pracy

sprawdzone podczas badania rezonansem magnetycznym.

Wiadomo jednak, że tak długie przebywanie pod wodą mogło mieć katastrofalne skutki. Z powodu braku tlenu po kilku minutach przebywania pod wodą dochodzi do nieodwracalnych zmian w mózgu, a w dalszej konsekwencji do śmierci. Czas pozwalający na uratowanie tonącego może się nieznacznie różnić, w zależności od takich czynników, m. in. temperatury wody czy wieku. Jednak szybka pomoc jest kluczowa.

Jak to możliwe, że nikt walczącym o życie dzieckiem się nie zainteresował? To pytanie od kilku dni zadaje sobie w Łodzi wiele osób. Dokładnie bada to też Prokuratura Rejonowa Łódź-Polesie.

Czwórka ludzi patrzyła i nie widziała?

Wiadomo już, że w wewnętrznym basenie sportowym o głębokości 1,30 m przebywała grupa 12 dzieci ze swoją 24-letnią instruktorką. Kobieta miała cztery lata doświadczenia w prowadzeniu takich zajęć, dodatkowo towarzyszyła jej stażystka, dla której feralny dzień był pierwszym w pracy. Przy basenie sportowym czuwało też dwóch ratowników

WOPR, którzy powinni byli obserwować taflę wody. To oznacza, że chłopiec tonął przy czwórce dorosłych, którzy powinni byli mu pomóc.

Nieco światła na kulisy wypadku rzucił program TVN „Uwaga”. Reporterzy dotarli do ratowników Fali, którzy opowiedzieli o szczegółach. Według nich do tragedii doszło w wąskim przesmyku między basenami. Dodatkowo w tym miejscu miało dyżurować dwóch młodych ratowników, którzy nie znali jeszcze dobrze zakamarków Fali, na które trzeba szczególnie uważać.

– To było w mało widocznej części basenu, na którym było dużo osób – mówił reporterom TVN jeden z ratowników Fali.

Eksperyment ma wyjaśnić, dlaczego nie widzieli

Prokuratura jest jednak zdania, że miejsce tragedii powinno być dla dwóch ratowników dobrze widoczne. Czy tak rzeczywiście było, ma wyjaśnić eksperymet procesowy. Prokuratura chce odtworzyć warunki zdarzenia i sprawdzić, co naprawdę mogli widzieć ratownicy. Do basenu włożona będzie kukła imitująca ciało dziecka – najpierw na trzy minuty będzie położona na wodzie, a potem

na sześć minut znajdzie się pod wodą. Na stanowiskach ratowników staną policjanci, którzy odnotują, czy jest ona widoczna.

Eksperyment będzie przeprowadzony w drugiej połowie września, bo... w basenie w którym doszło do tragedii właśnie zaczął się remont i nie będzie wody. Remont planowany był dawno planowany i nie ma związku ze sprawą, został też zaakceptowany przez prokuraturę.

Na razie prokuratura m. in. zabezpieczyła nagrania monitoringu z pływalni, obejrzała je, zatrzymała umowy dotyczące organizacji zajęć, przesłuchała kadrę pracującą tego dnia na basenie i sprawdziła, że osoby sprawujące nadzór nad dziećmi były trzeźwe. Postępowanie prowadzone jest w kierunku narażenia pod opiekę utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. W razie zmiany stanu zdrowia dziecka kwalifikacja czynu może ulec zmianie.

Miedzy Falą, WOPR-em i szkołami pływania

Wypadek zwrócił uwagę na skomplikowane relacje w branży ratownictwa wodnego w Łodzi. Wakacje na Fali organizowane były przez Aquapark Fala

we współpracy z dwiema firmami: Ratownictwo Wodne Szkoła Pływania i Sportów Wodnych Milan Wilhelmi oraz Akademia Pływania Marta Wilhelmi.

Właściciel szkoły Milan Wilhelmi jest jednocześnie prezesem WOPR w Łodzi i szefem ratowników pracujących na Fali. Aquapark wynajmuje ich od firmy zewnętrznej bo nie ma możliwości samodzielnego prowadzenia dla nich szkoleń. Organizuje je Akademia Pływania.

Po wypadku kilkakrotnie rozmawialiśmy z Milanem Wilhelmem. „Zdaję sobie sprawę z powagi zaistniałej sytuacji. Nie chcę jej w żaden sposób komentować, w szczególności mając na uwadze dobro chłopca i Jego najbliższych oraz toczące się postępowania. Deklaruję pełną współpracę ze wszystkimi organami, które wyjaśniają ten wypadek” – napisał nam w oświadczeniu.

Po wypadku Wakacjami na Fali zainteresowało się Kuratorium Oświaty w Łodzi. Fala te zajęcia nazywa „kursami”, choć w praktyce to półkolonie – oprócz nauki pływania, podstaw ratownictwa i nurkowania dzieci mają opiekę od godz. 7 do 17, trzy posiłki, zabawy plastyczne, wycieczkę a raz na turnus nawet nocowanie na Fali. Tygodniowy kurs kosztuje 1200 zł, można zapisać już czterolatki.

Tymczasem zgodnie z przepisami każdy wakacyjny i feryjny wypoczynek młodzieży – poza zajęciami organizowanymi w szkole dla jej własnych uczniów – powinien być zgłoszony do kuratorium. Dotyczy to też półkolonii, zajęć rozwijających zainteresowania, a także form typu „lato w mieście”. Tymczasem Wakacji na Fali nikt nie zgłosił. Dlatego łódzkie kuratorium zapowiedziało kontrolę.

Tymczasem lato w Aquaparku Fala trwa dalej. Po wypadku z zajęć zrezygnowało zaledwie około 5 proc. dzieci. Część kursantów jest zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji, a rodzice nie zawsze mają inne opcje zapewniania im opieki.

Na Fali jest bezpieczniej. Aquapark Fala przeprowadził z ratownikami rozmowy, a kierownik obiektu ma częstsze obchody – kiedyś odbywały się co godzinę, teraz są co 30 minut. Po wypadku osoby odpowiedzialne tego dnia za 7-latka na własną prośbę zrezygnowały z dalszej pracy. Milan Wilhelmi zapewnił im wsparcie psychiczne.

PRAWO

FOT. POLICJA ŚLĄSKA

29.07 w Kuźnicy Starej Jakub Sz. swoim BMW uderzył w 9-letniego Fabiana. Chłopiec nie przeżył. Kierowca był odurzony narkotykami (nie pierwszy raz!) i miał sądowy zakaz kierowania pojazdami. Ta tragedia pokazuje, jak kończy się nieskuteczne w Polsce eliminowanie takich osób z ruchu drogowego

Odurzeni i z sądowym zakazem jazdy - wiozą śmierć! Czy szybkie sądy pomagają?

Jakub Sz., który w lipcu zabił 9-letniego chłopca na Śląsku, kolejny raz prowadził auto po narkotykach; miał sądowy zakaz kierowania. Taki zakaz w kraju ma ponad 200 kierowców - wielu go jednak łamie. Jak ich skutecznie eliminować z polskich dróg? Może pomóc osądzanie w trybie 48-godzinny.

Małgorzata Oberlan

Tragedią z 29.07, do której doszło w Starej Kuźnicy (powiat kłobucki) na Śląsku, żyła cała Polska. Tego dnia wieczorem Jakub Sz., kierując BMW po narkotykach (kolejny już raz) uderzył w 9-letniego chłopca. Fabian jeździł rowerem przed swoim domem.

Dziecko uderzenia nie przeżyło - zmarło w nocy w szpitalu. Opinią publiczną dodatkowo wstrząsnęło to, jak zachował się po wypadku kierowca i kim był. Otóż po uderzeniu nie szukał ratunku dla chłopca, tylko chełpił się tym, że to „on prowadził ten samochód”. Potem też jego reakcje były nie normalne. Jak się okazało, 39-letni Jakub Sz. krytycznego wieczoru prowadził samochód pod wpływem narkotyków. W samochodzie natomiast miał jeszcze 29 gramów towaru. Jechało z nim dwoje pasażerów po trzydziestce. Kierowca był przestępcą drogowym. Nie miał prawa w ogóle siadać za kierownicą - nawet całkowicie trzeźwy i przytomny. Miał bowiem sądowy zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat - za jazdę motocyklem po narkotykach, ucieczkę

przed policją i posiadanie środków odurzających.

Ponad 200 tys. kierowców z sądowym zakazem

Po tym dramacie znów - na kilka dni przynajmniej - rozgorzała publiczna dyskusja. Znów o tym, jak to możliwe, że piraci drogowi z sądowymi zakazami kierowania - nawet dożywotnimi czy wielokrotnymi - mają je w nosie, notorycznie je łamią i dosłownie wożą śmierć. Znów, bo dyskusja taka pojawia się w Polsce od lat regularnie, gdy dochodzi do tragedii w podobnych okolicznościach.

Obecnie w kraju jest ponad 200 kierowców z aktywnym zakazem kierowania wszelkimi pojazdami mechanicznymi. Niektórzy mają te zakazy orzeczone przez sądy dożywotnio (ponad 70 tys.). Około 36 tys. z tego grona ma te zakazy orzeczone wielokrotnie - od dwóch do nawet kilkunastu razy! Skąd te sądowe zakazy? To skutki pijanych rajdów, piractwa drogowego, spowodowanych wypadków. Decyzją sądów ich sprawcy mają być wyeliminowani z ruchu drogowego - na kilka lat albo i na zawsze. Niestety, co roku polska policja zatrzymuje ponad 15 tys. kie-

rowców łamiących zakaz. To tyle, ile liczą sobie małe miasteczka.

Od nowelizacji Kodeksu karnego w 2017 r. za złamanie takiego prawomocnego zakazu prowadzenia grozi kolejny zakaz - od roku do lat 15, a nawet kara więzienia od 3 miesięcy do lat 5. I cóż z tego wynika? W praktyce niewiele, jak się okazuje, bo problem wciąż istnieje i boli.

Szybki osąd i nieuchronność kary - według ekspertów tylko one mogą skutecznie podziałać. Być może rozwiązaniem jest stosowanie tzw. szybkich sądów wobec kierowców pijanych, odurzonych, łamiących sądowe zakazy jazdy. Tak już się dzieje choćby w Kujawsko-Pomorskiem.

„Tryb 48 h” - przyspieszony

Jak działa tryb przyspieszony osądzania? Dzięki niemu nietrzeźwy kierowca i/lub łamiący sądowy zakaz kierowania, zatrzymany na gorącym uczynku, może w ciągu 48 godzin stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok. W tym czasie wszyscy: od policji przez prokuratora po sąd muszą się zmieścić.

Dotąd w Polsce tryb ten najczęściej stosowany był wobec tzw. stadionowych bandytów. Można go jednak stosować także wobec przestęp-

ców drogowych w określonych sytuacjach. Tak się już dzieje także w Kujawsko-Pomorskiem, a ostatnie przypadki - nagłaśniane przez policję i prokuraturę - są tego dowodem.

Zacznijmy od Bydgoszczy. Tutaj 56-letni kierowca recydywista usłyszał wyrok już nazajutrz po tym, jak wpadł w ręce policji 18.07 na ul. Bydgoskiej w Brzozie. - Za nic miał trzy sądowe zakazy, w tym dożywotni, prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Ponownie jechał autem, mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie - tak ujmuje w skrócie sytuację kierowcy Seata Cordoby nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna trafił do policyjnego aresztu. Policjanci zajęli się gromadzeniem materiału dowodowego. Udo- wodnili mu również 8 wykroczeń, które popełnił, jadąc seatem z Nowego Dąbia w kierunku Bydgoszczy. Były to m.in. przekroczenie podwójnej linii ciągłej, brak sygnalizowania manewru zmiany pasa ruchu.

Potem sprawą zajęli się śledczy z komisariatu na bydgoskich Wyżynach, którzy wdrożyli tryb przyspieszony, w ramach którego w ciągu 48 godzin podejrzanemu musi stanąć przed sądem. Tak też się stało. 20.07 Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił wyrok: rok bezwzględnej więzienia, 10 tys. zł do zapłaty, przepadek auta i podtrzymanie w mocy dożywotniego zakazu jazdy.

Wtorek, 21.07, godz. 20.50. O tej porze właśnie Kamila Ś. zatrzymała policja przy ul. Poznańskiej w Toruniu. Prowadził on Citroena pijany. W pierwszym badaniu alkomat wskazał ponad 1,6 promila alkoholu, w kolejnym - na ponad 1,4. Policjanci ustalili, że Kamil Ś. był już wcześniej prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Bydgoszczy za pijaną jazdę. Miał orzeczony sądowo zakaz kierowania wszelkimi pojazdami, ale go

łamał. Za to niestosowanie się do zakazu skazany był już w przeszłości przez Sąd Rejonowy w Toruniu.

Wypadki potoczyły się szybko. Już następnego dnia, czyli 22.07, Komisarjat Policji Toruń - Rubinkowo skierował do Sądu Rejonowego w Toruniu wniosek o rozpoznanie sprawy tego kierowcy w postępowaniu przyspieszonym. Rozprawa w sądzie odbyła się 23.07. Oskarżony przyznał się do jazdy „na podwójnym gazie”. - Sąd uznał Kamila Ś. za winnego zarzucanego mu czynu i wymierzył karę 5 miesięcy pozbawienia wolności, świadczenie pieniężne w wysokości 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych i przepadek pojazdu - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tryb przyspieszony sądy zastosować mogą też wobec trzeźwych kierowców, którzy łamią sądowe zakazy kierowania. Tak było 27.07 w Toruniu. 26.07 funkcjonariusze z Podgórz, w trakcie patrolu, zwrócili uwagę na dostawczego Volkswagena. Nie spodobał im się jego stan techniczny i zatrzymali go do kontroli. - Kierowcą był 33-letni mieszkaniec pobliskiej miejscowości. Podczas sprawdzania w bazach danych okazało się, że mężczyzna był już w konflikcie z prawem i nie powinien siadać „za kółko”. Miał dwa aktywne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczone przez sąd, które obowiązywały jeszcze przez kolejne 24 miesiące. Został zatrzymany i trafił do policyjnej celi - relacjonuje mł. asp. Sebastian Dobrzeńcki z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Już 27.07. policjanci doprowadzili 33-latkę do Sądu Rejonowego w Toruniu w trybie przyspieszonym. Mężczyznę skazano na 2 lata prac społecznych, dożywotni zakaz prowadzenia i 10 tys. zł do zapłaty. ©©

Projekt ustawy: obowiązkowa kara bezwzględnego więzienia

Nietrzeźwi kierowcy to nadal wielki problem na polskich drogach. Jak pokazują policyjne statystyki, tylko w ub. roku funkcjonariusze ujawnili ponad 95 tys. takich przypadków. To właśnie pijani za kółkiem spowodowali 1141 wypadków. 124 osoby zmarły, a 1439 odniosło obrażenia. Jak wynika z policyjnych zestawień, najwięcej wypadków po alkoholu (blisko 41 proc.) powodują kierowcy w przedziale wiekowym 25-39 lat. Najwięcej zdarzeń z udziałem alkoholu odnotowuje się w weekendy - w soboty (19 proc.) i niedziele (20,1 proc.).

Prawo i wymierzone kary są coraz surowsze, ale problem wciąż istnieje. Przypomnijmy, że w 2024 r. wprowadzono w Polsce przepisy o przepadku aut pijanych kierowców. Przełożyły się one na tysiące orzeczeń sądowych i miliony zasilające Skarb Państwa w 2025 r. Zdaniem ekspertów wpłynęło to przynajmniej na ograniczenie najtragiczniejszych wypadków. W planie jest jeszcze jedna ważna zmiana prawna. Za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta przez kierowcę, który jest pijany, sąd będzie musiał wymierzyć karę więzienia. Tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach nadal będzie mogła być to kara w zawieszeniu - wynika z projektu ustawy, do którego dotarła „Rzeczpospolita” (3.08).

GWIAZDA TYGODNIA

Mery Spolsky: Miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku

To jedna z najbardziej barwnych postaci polskiej sceny muzycznej. Właśnie premierę miał jej kandydat na przebój tego lata – utwór „Tajlandia”. Nam opowiada o swych wymarzonych wakacjach, zmianie sylwetki, patriotyzmie i miłości

Paweł Gzyl

„Tajlandia” to twój kolejny „letniaczek” po „Santorini” sprzed dwóch lat. Skąd u ciebie ten apetyt na przebój lata?

Jako mała dziewczynka zawsze nasłuchiwałam, co moje idolki i idole wypuszczają na wakacje. Wiedziałam, że będzie to coś niezobowiązującego i nie zapowiadającego ich nową płytę, tylko typowa letnia niespodzianka. Zresztą tak jest i teraz: moja aktualna idolka Rosalia też raz na dwa lata raczy swych fanów wakacyjną piosenką. Ostatnio była to „Despecha”, która poniosła się na cały świat. I „Tajlandia” też ma taka być – zupełnie nic nie zapowiada, to prezent na lato 2026. A jeżeli ktoś wybiera się akurat do Tajlandii, niech to będzie dla niego piosenka tego wyjazdu. Bo akurat ja bardzo lubię, wyjeżdżając do jakiegoś kraju, zapętląć sobie utwory, które są mu poświęcone.

A dlaczego akurat Tajlandia?

To jeszcze nieodkryty przeze mnie teren. Azja mnie generalnie bardzo kręci. Miałam okazję być tylko cztery dni w Tokio. To była moja jedyna azjatycka przygoda. A jestem bardzo ciekawa tamtej kultury. Wszyscy moi muzycyjni znajomi mieli już okazję odwiedzić Tajlandię i opowiadają, że jest tam wyjątkowo luz, wspaniała kuchnia, ciepły klimat. Chciałabym więc też tego wszystkiego doświadczyć. Może kiedyś będzie mi to dane.

W piosence śpiewasz „Żadnych kłopotów/Żadnych idiotów”. To twój przepis na idealne wakacje?

To moje motto na lato. Żeby się niczym za bardzo nie przejmować, bo zaraz będzie jesień, dni zrobią się krótsze i wtedy więcej czarnych myśli będzie nam przychodzić do głowy. Tak sobie właśnie wyobrażam ten wyjazd do Tajlandii: pakuję się do podręcznego plecaka, wrzucam dwa T-shirty, zakładam wygodne buty, nic nie siedzi mi w głowie. Lecę na miesiąc, nie rezerwuję żadnych hoteli, z dnia na dzień wmyślam, co i jak. I zabieram ze sobą kogoś, kogo lubię, żadnych idiotów. (śmiech)



Mery Spolsky: Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni

Klip do „Tajlandii” powstał na Mazurach. Czy to znaczy, że aby zaliczyć udane wakacje, nie trzeba lecieć na drugi koniec świata?

Już dwa lata temu, promując piosenkę „Santorini”, mówiłam, że choć wyierzemy się na wymarzony wypad, to nie znaczy, iż będą to najlepsze wakacje w naszym życiu. Równie dobrze można spędzić całe lato w mieście, na wsi, w górach, nad morzem lub na Mazurach – i też będzie pięknie i magicznie. Oczywiście jest w nas coś, że wydaje się nam, iż te egzotyczne kraje to definicja najwspanialszych wakacji. Tymczasem my pojechaliśmy nad polskie jezioro i kręcąc ten klip, mieliśmy tak dobry dzień, że szkoda nam było wracać i chętnie byśmy tam dłużej zostali.

Zaprezentowałaś w tym teledysku swoją nową sylwetkę.

Copomógł ci schudnąć 10 kilo: sport czy dieta?

Generalnie bardzo lubię się poruszać i eksperymentować z modą odsłaniającą ciało. Dwa lata temu zmieniłam jednak swoje podejście do ruchu i wysiłku fizycznego. Zaczęłam regularnie uprawiać sport i zauważyłam, że dobrze wpływa to na moją kondycję na koncertach. Jestem już po trzydziestce i pomyślałam: „Kiedy, jak nie teraz spróbować poprawić swoją formę?”. Tak też się stało – i moim sposobem na to okazała się siłownia połączona z pilatesem na reformerach. Akurat mam możliwość takich ćwiczeń blisko domu, więc rozkochałam się w nich. Moi znajomi śmieją się, że pilates stał się teraz modny, dlatego wszyscy na niego chodzą. Mnie się jednak naprawdę spodobał – i kiedy połączyłam go z dietą, w efekcie schudłam 10 kilo. Nie mam tu na myśli oczywiście głodzenia się, tylko prze-

programowanie głowy, które sprawia, że po koncercie nie sięgam po chipsy czy inne puste kalorie, ale po jogurt, który ma dużo białka. To małe zmiany, które dużo dają.

Ponoć to twój chłopak Mateusz Golis zmobilizował cię do regularnego uprawiania sportu. Jak to się stało?

Mateusz ma mental sportowca. Kiedy się poznaliśmy, dużo opowiadał mi, jak za młodu trenował szermierkę, startował w zawodach i jeździł na obozy sportowe. Zafascynowało mnie to, że ktoś może podchodzić do tego tematu z taką dyscypliną. Mateusz teraz jest filmowcem, razem robimy klipy, również ten do „Tajlandii”, stworzyliśmy więc na siebie wspólny pomysł wizualny. Znaleźliśmy też dodatkowo sposób na to, jak się razem wyluzować – pójść na rower czy pobiegać, a nie na melanz, jak kiedyś oboje

mieliśmy w nawyku. (śmiech) To nie znaczy, że jesteśmy jakimiś nudziarzami. Po prostu staramy się, aby lepiej się nam żyło.

Na płycie „Erotik Era” nawoływałaś, żeby akceptować swoje ciało takie, jakie się ma. A jednak postarałaś się schudnąć. Nie ma w tym sprzeczności?

Nadal twierdzę, że trzeba akceptować swoje ciało takim, jakie ono jest. Teraz, kiedy patrzę na siebie, oczywiście nadal mam mnóstwo różnych „ale”. To, że schudłam, wcale nie znaczy, że nie ma już we mnie rzeczy, które mi nie pasują. Dlatego motto „Erotik Ery” nadal zostaje ze mną. Zresztą chyba każdy ma coś takiego, na co się uprze, że mu w sobie nie pasuje. Inni w ogóle tego nie zauważają, a jemu to nieustannie psuje humor. Zmieniłam sylwetkę – ale nie wypieram się tego, co mówiłam o akceptacji swego ciała. Zmieniło się tylko w moim życiu to, że polubiłam sport, bo zaobserwowałam pozytywne efekty jego uprawiania. I w wszystkich do tego namawiam, bo wtedy głowa jest trochę lżejsza. Czas „Erotik Ery” to był dla mnie trudny czas samotności. Dlatego ważne było, abym mogła sobie wtedy powiedzieć: „Zaakceptuj siebie taką, jaka jesteś”.

Teraz pewnie wszystkie twoje kostiumy sceniczne z tamtego okresu są na ciebie za obszerne. Co z nimi zrobisz?

W większości były to gorsety, więc bez problemu można je mocniej związać. (śmiech) Generalnie lubię magazynować wszystkie kostiumy z teledysków i tras koncertowych. I dobrze – bo co jakiś czas ktoś się zgłasza, kto chce zrobić reportaż o moich strojach. Wtedy robię wystawkę na magazynach. Ostatnio tak się stało na potrzeby telewizyjnego programu i było to dla mnie wzruszające, kiedy mogłam przejść od manekina do manekina i powiedzieć: „Patrzcie, to Mery Spolsky z czasów „Dekalogu”, a to Mery z czasów „Erotik Ery”.

Swoją premierę miał niedawno twój nowy projekt z piosenkami nowofalowych zespołów Kontrola W.i Ko-

smetyki Mrs Pinki z połowy lat 80. Jak narodził się ten pomysł?

To coś zupełnie innego i niszowego. Ten projekt sam do mnie zapukał i przypomni mi, gdzie są moje korzenie. Bo zaczynałam w rockowych zespołach, kochałam zawsze alternatywę, dopiero z czasem zaczęłam eksperymentować z elektroniką i popem. Rok temu do mojej menedżerki zgłosił się Dom Kultury ze Zduńskiej Woli z zapytaniem, czy nie podjęlibyśmy się próby opracowania na nowo piosenek zespołu Kontrola W., który działał w tym mieście ponad cztery dekady temu. To była fajna grupa – i oni chcieliby o niej przypomnieć. Posłuchałam tych nagrań i od razu coś kliknęło. Zaczęliśmy więc z chłopakami je przemieniać przez nasze głowy aż wyszedł z tego cały program. Tak nam dobrze się to gra, że planuję na jesieni skoncentrować się na tym projekcie i trochę odejść od popu.

Te piosenki powstały ponad 40 lat temu w realiach PRL-u. Co znajdziesz w nich współczesnych słuchacz?

To dla mnie niesamowite, ale teksty tych utworów są bardzo aktualne. Weźmy pierwszy numer, który wydaliśmy – „Manekiny”. Dla mnie to piosenka o współczesnym świecie. Po pierwsze opowiada o wszechobecnym skupianiu się na wyglądzie, dążeniu do nieosiągalnego ideału piękna, o instagramowych trendach. Kiedy śpiewam „Manekiny, manekiny/ Zuśmieciami cynicznymi/ Szklanookie, doskonałe”, to jest totalnie o tym, że teraz wszyscy udajemy, chcemy być perfekcyjni w social mediach, a tak naprawdę, kiedy spoglądamy w domu w lustro, to bywa różnie. Po drugie od razu z tego tekstu wali do mnie konsumpcjonizm: „Za szymbami sklepowymi/ Wciąż posłuszne i poprawne”. To o tym, że dzisiejsze czasy są bardzo plastikowe, zalane oglądaniem, kupowaniem, zamawianiem. Niby więc te 40 lat temu było trochę inaczej, ale ta frustracja, która bije z tego tekstu, jest nadal aktualna.

Nie używasz do grania tych piosenek komputerów. Jak ci się wykonuje w pełni „żywą” muzykę?

Kiedy zaczynałam swą karierę, byłam sama na scenie z gitarą i komputerem. Teraz gram piosenki Kontrola W. z trzema muzykami na żywo, tak, jak przystało na rockową kapelę. Akurat tutaj nie pasuje nam, by wspomagać się komputerem czy samplami. Jak przystało na punkową muzykę, olewamy me- tronom, gramy na czuja – i jest to bardzo wyzwalaające. Chłopaki też to lubią, bo mam wrażenie, że po dwóch koncertach, które daliśmy z tym materiałem, mieli bardzo

ucieszone miny. Chyba dobrze się czują w tym repertuarze.

No właśnie: zagraliście dwa ważne koncerty – w Zduńskiej Woli i w Jarocinie. Jak było?

Zduńska Wola była stresem, bo graliśmy ten repertuar pierwszy raz, a do tego dowiedzieliśmy się dzień przed występem, że przyjdą nas posłuchać liderzy Kontroli W. – ro-dzeństwo Katarzyna i Dariusz Kul-dowie. Zastanawialiśmy się więc, co powiedzą na nasze interpretacje ich piosenek. I okazało się, że było to dla nich wzruszające: nawet uronili przysłowiową łzę, wracając do tamtych czasów, kiedy sami grali i śpiewali. W Jarocinie byliśmy już bardziej zgrani i pewni siebie. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że Mery Spolsky niespecjalnie kojarzy się z tym festiwalem i wiedzieliśmy, że są skrajne opinie na ten temat. Dlatego ucieszyło mnie, że przy drugim numerze ludzie zaczęli przychodzić pod scenę – dali nam szansę i zostali do końca.

Dostaniemy ten program na płycie?

Tak. Zarejestrowałam już wszystkie wokale do kolejnych piosenek. A że projekt jest punkowy – nie chcę podchodzić do tego marketingowo. Kiedy więc to wypuszczę, to wypuszczę.

Do muzyki z lat 80. odwoływały się już twoje piosenki z płyty „Kocham Polskę”. To zasługa jej producenta – Michała „Foxy” Króla?

Chyba nam się tak wspólnie połączyły energie. Słuchaliśmy bowiem z Michałem dużo Siekiery i płyty „Nowa Aleksandria”. Na tej podstawie powstała piosenka „Szarak”. I może właśnie za sprawą tego utworu odezwano się do nas ze Zduńskiej Woli? Bo te „Szarak” są w stylu Kontroli W. Zresztą zagraliśmy ten utwór na koniec koncertu w Zduńskiej Woli, wyjaśniając, że nasza fascynacja tym zespołem nie wzięła się znikąd. Bo to pod względem brzmieniowym piosenka jakby z tamtego repertuaru. „Fox” podrzucił mi więc nowy klimat.

Co sprawiło, że postanowiłaś poruszyć na „Kocham Polskę” temat patriotyzmu?

Z moich obserwacji wynika, że młodzi ludzie postrzegają patriotyzm bardzo negatywnie. Większość moich znajomych, kiedy o kimś mówi się „patriota”, odbiera to bardzo skrajnie, jakby mówiło się o kimś, kto ma tendencje do agresywnego wyrażania swych opinii, o jakimś narodowcu czy kibolu. „Co by było, gdyby spróbować podejść do tego od innej strony?” – pomyślałam więc. Nie tak politycznie i poważnie, tylko zwyczajnie, po ludzku. Bo przecież mieszkam w Polsce, tu

się wychowałam i lubię nasze tradycje. Tym bardziej że mój pseudonim jest o tym, że działam i piszę właśnie tutaj. No i wywołałam kontrowersje. Nawet kiedy ludzie widzą orzelka na mojej płycie lub na moim ramieniu, bo sobie go wytatuowałam na pamiątkę, to widzę u nich skrajne emocje. Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni i urażeni.

Wiele osób z twojego pokolenia zachłysnęło się Zachodem. Ty nie myślałaś, żeby wyjechać z Polski za granicę?

Sto razy miałam taki moment. Nawet życie samo mnie do tego pchało, bo dwie moje najbliższe przyjaciółki wyprowadziły się do Londynu. Z kolei po moim liceum miałam możliwość jechać studiować do Berlina. Coś mnie jednak tu trzymało. Przede wszystkim polskie piosenki – bo chciałam tu śpiewać, tu pisać teksty i książki. Nie pojechałam więc i chyba już nigdy nie wyprowadzę się gdzieś na Zachód. Ale nie ukrywam, że jestem zafascynowana tym, co nazywamy „american dream”. Bo przecież całe dzieciństwo marzyłam o Hollywood, gdzie była Madonna czy Britney Spears. Dzisiaj mówię sobie jednak: „OK, to jest inspirujący świat, ale Kocham Polskę i się jej nie wstydzę”.

Dwa kluczowe utwory na płycie to „Kocham Polskę” i „Wkurza mnie”. Za co kochasz Polskę, a co cię w niej wkurza?

Szczerze Kocham Polskę za tradycje, za kuchnię, za nasz mental narodowy, który mnie stworzył. Bo z jednej strony czuję, że mam w sobie dużo skromności i poprawności, wręcz kościelnej, choć jestem niewierząca, nigdy nie chcę nikogo urazić i momentami wręcz przepraszam za to, że żyję. A z drugiej – chcę być hej do przodu i idę śmiało po swoje marzenia. Kocham te skrajności: jesteśmy takim przepraszającym narodem, ale kiedy ktoś będzie coś złego mówił na Lewandowskiego, to potrafimy się zjednoczyć i stanąć za nim murem. To samo każdy, choć nawet jest niewierzący, będzie dumny z Jana Pawła II.

A co cię wkurza?

Podziały. Brak zaufania i szcunku dla osób, które są z innej planety. Kiedy wypowiem się na jakiś polityczny czy religijny temat, to od razu jestem ostro oceniana i wrzucana do jakiegoś wora, a to zniechęca niektórych ludzi, by poznać moją muzykę. Wkurza mnie to, że tak często lubimy się zacietrzewiać. Jesteśmy bardzo podzieleni, a są chwile, kiedy okazuje się, że choć mamy odmienne poglądy, to jesteśmy sobie równi, tylko trzeba się dogadać. Nienawidzę też naszej pogody – mamy lipiec, a ciągle pada.

W piosence „Marysia Kowalska” śpiewasz o przeciętnej Polce. Każdy artysta zazwyczaj uważa się kogoś wyjątkowego. A ile jest w tobie takiej przeciętnej Polki?

To mit, że kiedy ktoś pokaże się w telewizji, to jest kimś idealnym, ponad tłumem, jakimś nadczłowiekiem. Przecież ja też stoję w kolejce w Biedronce i zbieram kupony na promocje. Dlatego podkreślam w tej piosence, że wszyscy jesteśmy Kowalskimi, bez względu na to, gdzie kto pracuje i jaki ma status społeczny. Codzienne sprawy dotyczą nas wszystkich. I to mnie trochę uspokaja, bo dzięki temu nie czuję się taka samotna, tylko wiem, że tak naprawdę z każdym mogę złapać wspólny lot. A kiedy nie ma na prawdę o czym gadać, to narzeka się na remonty. Jeżdżę po Polsce, więc coś o tym wiem. (śmiech)

Jest tu też utwór „Nie ma już PL”, w którym wspominasz dawne lata – świat trzepaków i kiosków Ruchu. Wkraczasz w taki wiek, że zaczynasz odczuwać nostalgię za czasami swej młodości?

Uwielbiam takie strony w internecie, które przypominają dawne gazety, gry czy urządzenia, takie, jak discmany. Wtedy robi mi się nostalgicznie, bo uświadamiam sobie, że to świat, którego już nie ma. A przecież to wtedy wszystko było pierwsze i najfajniejsze w życiu człowieka. Jestem więc już w takim wieku, kiedy zerkam na takie rzeczy z łezką w oku i tęsknię za nimi.

Śpiewasz na tej płycie również o relacjach damsko-męskich. W takich piosenkach, jak „PRL”, „Pałac” czy „Wojna” metaforyka, którą stosujesz przypomina tę, którą stosował niegdyś Grzegorz Ciechowski. Inspirowałaś się jego tekstami?

Bardzo. Jestem jego fanką od wielu lat. Już przy mojej pierwszej płycie stosowałam czarno-białe paski, tłumacząc, że to takie mrugnięcie okiem do Republiki. Jestem zakręcona na punkcie Ciechowskiego do tego stopnia, że miałam okazję zagrać w wielu projektach coverujących jego piosenki, nawet z samym Leszkiem Bioli-kiem, który był w ostatnim składzie Republiki. Dla takiej fanki jak ja, to było prawdziwe „wow”. Najbardziej fascynuje mnie, że Ciechowski potrafił tak zgrabnie połączyć erotykę z polityką. Dzięki temu piosenka nie była ciężka, ale chciało się w nią wejść głębiej, bo była o czymś. Tak starałam się napisać „Wojnę” na „Kocham Polskę”.

W „Wojnie” miłość to pole bitwy – a ty od kilku lat jesteś przeciw w stabilnym związku. Inspirowałaś się

swoim wcześniejszymi relacjami?

Generalnie myślę, że miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku. Zawsze towarzyszą temu takie emocje, jakby się toczyło bitwę o życie. I to jest piękne. Wtedy jest miłość, kiedy właśnie odczuwa się takie emocje.

Co sprawiło, że akurat u boku Mateusza znalazłaś spokój i szczęście?

Gdyby była na to jednoznaczna odpowiedź, pewnie każdy z nas by od razu znajdował ten udany związek. Myślę, że to jak z muzyką – nigdy nie wiesz, która piosenka, którą napiszesz, chwyci za serce i stanie się przebojem. Może ci się wydawać, że stworzyłeś hit życia, po czym kończy się fiaskiem. A kiedy się zupełnie tego nie spodziewasz – masz przebój. Tak było też z nami: wpadły na siebie dwie osoby, które miały podobne marzenia. Artystyczne i nie tylko. Uspokaja mnie to, że taką miłość można znaleźć w każdym wieku. Nie jest więc tak, że zawsze dzieje się to od razu. Można i po trzydziestce – i jest super.

To, że oboje jesteście artystami o silnych osobowościach nie sprawia, że czasem między wami iskrzy?

Gdybyśmy oboje działali w muzycznej branży, można by się czegoś takiego obawiać. My mamy ten luksus, że choć oboje funkcjonujemy w świecie artystycznym, to na dwóch różnych biegunach. Dzięki temu uzupełniamy się. Mateusz nie zna się na muzyce w sensie zawodowym, a ja na filmie czy fotografii. Dzięki temu bardziej się od siebie uczymy, niż ze sobą konkurujemy. Tak mi się wydaje.

Jakie będzie kolejne wcielenie Mery Spolsky?

To będzie nowa książka. Właściwie kończę ją już pisać. Kiedy zostanie wydana, siadę z oczyszczoną głową nad kolejną płytą. Mam jednak już dosyć concept-albumów poświęconych konkretnej tematyce. Myślę więc, że ta przerwa, którą planuję, sprawi, że powstanie coś z zupełnie innej beczki.

Będiesz prezentować nową książkę podczas występów w klubach, jak było to w przypadku twojej pierwszej powieści?

Myślę, że nie. Chciałabym, aby była to lekka książka o zupełnie innej tematyce. Nie będę do niej robić live s, bo obawiam się, że nie dałabym rady połączyć ich z występami tego punkowego projektu. Chociaż, kiedy ukazała się moja pierwsza książka, też nie było początkowo oczywiste, że rozrośnie się to do wyjazdowych występów. Jak więc mówią: nigdy nie mów nigdy.

POPKULTURA SOCJALISTYCZNA



Czechosłowacki serial animowany „Sąsiedzi” oglądały w latach socjalizmu całe rodziny

Pat i Mat, realny socjalizm i czeskie poczucie humoru

Fenomen polskiej recepcji czeskiej animacji „Sąsiedzi” zasługuje na oddzielne studia socjologiczne. Właśnie mija 50 lat od premiery pilotowego odcinka serialu

Mariusz Grabowski

Widzowie poznali fachowców Pata i Mata – dwóch bohaterów „Sąsiadów” – 12 sierpnia 1976 r. Z czasem ich przygody, głównie piętrząca się demolka i partactwo, stały się symbolem życia w realnym socjalizmie.

Niezgrabiasze

Pat i Mat, obaj łysi, obaj w groteskowych czapeczkach i obaj mający dwie lewe ręce do najprostszych czynności budowlanych, w ogóle się nie odzywają – wydają z siebie jedynie odgłosy i pomruki. Nie muszą mówić, zajęci są bowiem demolowaniem otoczenia. Owa niewiarygodna wręcz niezręczność manualna to główny motyw serialu. Ale ich cechą jest także humor i optymistyczne podejście do życia. Dwójka bohaterów uparcie podejmuje wyzwania i nie poddaje się, aż znajdzie rozwiązanie problemu, zwykle obracając otoczenie w perzynę.

Oglądający mają poczucie uczestnictwa w ich siermiędze, a na

stępnie w finałowych wzlotach nastrojów. Zarówno wtedy, gdy podejmuje się remontu domku czy gdy jadą na majówkę. Zresztą żyjący w socjalizmie mieli wokół siebie całe zastępy podobnych fachowców, zatem można powiedzieć, że serial dotykał rzeczywistości w stopniu adekwatnym.

O ile Czesi patrzyli i patrzali na Pata i Mata, co zrozumiałe, z czułością, to w przypadku Polaków pojawia się wiele dodatkowych elementów. „Sąsiedzi” pojawili się w Polsce dość późno, wraz z upadkiem komuny, i wpisali się doskonale w stereotyp naszego postrzegania Czechów. Balansuje on między sympatią a lekceważeniem, co można sprowadzić do chwytliwego hasła: „Szwajk, piwo i knedliki”.

Ze stereotypami nie da się wygrać. Bywają tak trwałe, że kształtują postrzeganie rzeczywistości na pokolenia. Na przykład gdy w odcinku „Deszcz” Pat i Mat rozpoczynają epopeję łatania dachu, doprowadzając w konsekwencji do całkowitej de-

strukcji budynku, polscy widzowie widzą w tym nie tylko sytuacyjny absurd. Nieuchronnie pojawiają się odniesienia historyczne, kulturowe i mentalne.

Szwajk jest wieczny

Jak dowodzi Joanna Korbut w rozprawie „Stereotypy o Czechach w polskiej przestrzeni publicznej” („Studia Linguistica”, 2024), na twórczość Czechów patrzymy na ogół przez pryzmat tradycji humorystyczno-komediowych, stąd w funkcjonujących stereotypach odwołania do czeskiego poczucia humoru, wojaka Szwajka, czeskich komedii. Bohater powieści Haszka dla większości Polaków jest synonimem Czecha – tchórzliwego, beztroskiego, ceniącego sobie spokój oraz lubiącego alkohol, a jego strategia „przeżycia za wszelką cenę” jednych pociąga, innych zaś odpycha.

Do tego – pisze Korbut – dodać należy odbicia stereotypów narodowych w różnych zjawiskach językowych. „Polskie frazeologizmy,

w skład których wchodzi przymiotnikowy komponent »czeski«, niemal automatycznie otrzymują znaczenie negatywne (np. czeski film, czeski błąd), podczas kiedy niefrazeologiczne znaczenie ww. przymiotnika jest w Polsce zdecydowanie pozytywne”.

„Dodajmy do tego, że dla pokoleń PRL-u »czeskość« stanowiło skojarzenie z Vondráčkovą czy Gottem, co jest jest oczywiście znaczącym uproszczeniem, ale w/w wykonawcy »oznaczyli« (i w dużym stopniu oznaczają nadal) kulturę i zabawę na wysokim poziomie. Wydarzenia kulturalne z ich udziałem zawsze cieszyły się ogromną popularnością wśród Polaków” – dodaje autorka rozprawy.

W podobnym kierunku podąża myśl przewodnia tekstu „Polsko-czeska współpraca kulturalna. Co nas łączy, a co dzieli?”, którego autorką jest Sylvie Vůjtková. „Specyficzny humor, ironia i umiejętność obracania w żart wszystkiego w każdej chwili, żartowania zwłaszcza z siebie, to najbardziej charakterystyczna cecha czegoś, co można by nazwać »czeską naturą narodową«. O ile naprawdę wierzymy w taką koncepcję. Na tym właśnie polega największa różnica między sąsiadami czeskimi i polskimi”.

Dalej autorka pisze: „Pomiędzy południowymi, przyzwyczajonymi do dbania o siebie i nieufających nikomu innemu, a północnymi, posiadającymi swoją szlachecką, niestety wiarygodną i troskliwą władzę, aż do początku XX wieku. To jeden z powodów, dla których Polak może być dumny ze swojego narodowego dziedzictwa, podczas gdy Czech może podchodzić do życia przez pryzmat (auto)kpiny”.

Sąsiedzi przy kuflu

Przeciętny Czech w polskich oczach jest zadziwiająco zbliżony do bohatera powieści Haszka: jowialny pan z brzuszkiem, z nieodłącznym kuflowym piwem w ręku. Musi być on oczywiście dowcipny (przecież mówi tak śmiesznym językiem), ponadto, jak każdy Czech, jest uprzejmy, przyjemny, pacyfistyczny (aż do tchórzstwa), lubi porządek, interesuje się sportem, nie wierzy w Boga, jest tradycjonalistą.

Gdyby Pat i Mat nie byli tylko bohaterami animacji dla dzieci, a także gdyby chcieli im się cokolwiek mówić, pasowałoby do powyższego opisu jak ulał. Po dokonaniu kolejnej demolki siedzieliby zapewne popołudniami w piwiarni i dyskutowali o gulaszu, husytach i o tym, jak najszybciej poddać się wrogom.

Jak wyznaczyć moment, w którym „Sąsiedzi” stali się w Polsce zjawiskiem godnym odnotowania przez badaczy? Zapewne od chwili, gdy na stałe zagostili na portalach społecznościowych. Są bohaterami komentarzy, ocen i porównań, czasami wręcz zdumiewających. Np.

na portalu Nonsensopedia (utworzono tam hasło „Sąsiedzi”) przyrównani są... do McGyvera, choć w negatywnym znaczeniu.

Pat i Mat są postaciami kojarzonymi z dzieciństwem, z wakacyjnymi podróżami do Czech, choć równie często szyderczo przyrównywani są do fachowców, z którymi uczestnicy życia social mediów mają do czynienia w realu: gazowników, kominiarzy czy hydraulików. Innymi słowy: Pat i Mat nie są w Polsce anonimowi. Żyją jako źródło licznych memów, przeróbek i filmowych składanek, pojawiali się też w kilku reklamach, m.in. propagując sprzedawanie po sąsiedzku niepotrzebnych rzeczy. W grudniu 2024 r. Muzeum Narodowe w Gdańsku na hasło „Sąsiedzi” lub „Pat i Mat” oferowało w kasie „zniżkę na bilet 15 proc.”. Oferta kierowana była dla czeskich turystów podróżujących Baltic Expressem do Trójmiasta.

Czując się jak Pat

Można zatem powiedzieć, że Pat i Mat są nad Wisłą nie tylko rozpoznawalni, ale również lubiani. Odkryto również ich potencjał gaminowy. Gdy w 2008 r. w czeskim studiu Centauri Production powstała gra komputerowa „Pat & Mat: The Game”, stała się popularna także w Polsce. Co ciekawe, celem gry jest rozwiązywanie codziennych problemów technicznych, a to przecież nie było najmocniejszą z cech bohaterów „Sąsiadów”.

„Każdy, z pozoru wydawałoby się najprostszy nawet problem – czytamy w recenzji gry – wymaga analizy i działania z reguły przekraczającego zasady zdroworozsądkowe. Rozwiązanie niektórych problemów wymusza przełączenie się pomiędzy postaciami. Dzięki temu rozgrywka staje się jeszcze trudniejsza, ponieważ każdy z głównych bohaterów dysponuje różnymi zdolnościami i umiejętnościami”.

Wróćmy jeszcze do 1976 r. i pilotowego odcinka serialu pt. „Kutáci” („Majsterkowicze”). Otóż okazuje się, że wywołał on w Czechosłowacji małe polityczne trzęsienie ziemi. Poszło o kolory koszulek bohaterów, czerwony i żółty, które nawiązywać miały rzekomo do napiętych wówczas relacji radziecko-chińskich. W 1969 r. doszło do incydentów granicznych nad Ussuri i od tego czasu oba państwa patrzyły na siebie wrogo. Czerwona koszulka reprezentowała rzecz jasna ZSRR, a żółta Chiny.

Cała sprawa wydaje się dziś jedynie atrakcyjnie spreparowaną legendą, ale faktem jest, że w odcinkach wyprodukowanych w latach 1979-1985 twórcy serialu zmuszeni byli zmienić koszulkę Mata z czerwonej na szarą. Ostatnim odcinkiem, gdzie Mat nosi szary ciuszek, jest „Jabłko” z 1985 r. Po upadku komuny Mat, od odcinka „Klucz” z 1989 r., ponownie parady w czerwieni.

KOŚCIÓŁ

Co papież Leon XIV sądzi o polityce Stanów Zjednoczonych

W słowach papieża Leona XIV: „Kocham Amerykę za wolność i otwartość na ludzi” pobrzmiewa autentyczna duma z bycia Amerykaninem

Mariusz Grabowski

– Myślę o sobie raczej jako o papieżu, który tylko przypadkiem jest z Chicago – powiedział niedawno Leon XIV w rozmowie z NBC. – Żywię wielką miłość do Ameryki – zapewnił. Ale jego relacje z ojczyzną, a zwłaszcza z jej prezydentem Donaldem Trumpem, nierzadko bywają trudne.

Co z imigrantami?

Komentatorzy szybko doszukanili się w słowach głowy Kościoła najrozsądniejszych emocji, w tym choćby sympatii dla liberalizmu. Leon XIV wskazał bowiem, że ceni w Ameryce reprezentowane przez nią zasady: poczucie wolności i możliwości oraz otwartość na przyszłość. Przypomniawszy, że Stany Zjednoczone przez pokolenia zapraszały ludzi z całego świata, by stawali się częścią kraju.

– Pochodzę z rodziny imigrantów od strony moich dziadków. Wśród przodków od strony mojej matki byli zarówno niewolnicy, jak i właściciele niewolników – mówił papież. Wskazał, że ta złożona historia jest historią rozwoju, a doświadczenie różnorodnych korzeni pozwala mu widzieć to jako część jednego z największych bogactw Stanów Zjednoczonych. Podkreślił, że nadal opowiada się za zasadami, które przez wiele lat stanowiły „część amerykańskiej tożsamości”.

To o tyle znaczące, że kwestia imigracji jest jedną z tych, które dzielią Leona XIV, podobnie jak jego poprzednika, z dzisiejszą administracją. Np. w październiku 2025 r. papież, w czasie spotkania z biskupami z USA, mówił, że amerykańscy duchowni powinni „zdecydowanie zabierać głos” w sprawie tego, jak administracja Donalda Trumpa traktuje imigrantów w ramach zastrzeżenia polityki imigracyjnej.

– Nasz Ojciec Święty jest bardzo osobiście zmartwiony tymi kwestiami – mówił wówczas w rozmowie z agencją Reutersa biskup z El Paso Mark Seitz, który brał udział w spotkaniu. – Wyraził pragnienie, by Konferencja Episkopatu USA zajęła zdecydowane stanowisko w tej sprawie – dodawał hierarcha.

Wiadomo, że na spotkaniu przekazano papieżowi dziesiątki listów od imigrantów opisujących swoje lęki związane z obawą przed deportacją z USA.



FOT. PAPIEZA/VATICAN MEDIA HANDOUT

Na linii Donald Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie

Co z karą śmierci?

Ale i wcześniej Leon XIV dawał do zrozumienia, że antyimigracyjna polityka Trumpa jest w niezgodzie z nauczaniem Kościoła katolickiego i zasadą „pro-life”. Podobnie jak poparcie dla kary śmierci. Tu głos papieża jest jeszcze bardziej zdecydowany.

O karze śmierci wypowiadał się wielokrotnie. Ostatnio w kwietniu tego roku, zwracając się w wideo-przestrzeni do uczestników spotkania na DePaul University, upamiętniającego 15. rocznicę zniesienia kary śmierci w stanie Illinois, Ojciec Święty przypomniawszy, że ochrona życia jest „fundamentem sprawiedliwego społeczeństwa”, a Kościół uznaje karę śmierci za niedopuszczalną.

Ojciec Święty zaznaczył, że nawet najcięższe przestępstwa nie odbierają człowiekowi jego godności. Wskazał także, że współczesne systemy penitencjarne są w stanie skutecznie chronić społeczeństwo, nie pozbawiając skazanych „możliwości odkupienia”. Jego słowa natychmiast skonfrontowano z faktami: kara śmierci w USA jest legalna w 27 z 50 stanów oraz na poziomie federalnym. O jej losach decydują przepisy lokalne poszczególnych terytoriów oraz Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

W katalogu spraw spornych na linii Watykan – Biały Dom jest też

kwestia aborcji. W październiku 2025 r. Leon XIV po raz pierwszy tak dobitnie zabrał głos w tej sprawie. Stało się to po głośnej sprawie abp. Chicago Blase’a Cupicha (byłego bliskiego doradcy papieża Franciszka), który postanowił wręczyć nagrodę senatorowi z Illinois Dickowi Durbinowi za jego pracę na rzecz imigrantów. Zamiar wywołał sprzeciw wielu konserwatywnych biskupów amerykańskich; wpływowi demokratyczny polityk od lat walczył o „prawo” do aborcji.

– Ktoś, kto mówi: „Jestem przeciwny aborcji”, ale zarazem jest za karą śmierci, nie jest tak naprawdę pro-life – zauważył papież, wskazując tym samym na ewidentną sprzeczność w postawie wielu amerykańskich katolików. Podobnie wyraził wątpliwość, czy da się pogodzić z obroną życia „niehumanitarne traktowanie imigrantów w Stanach Zjednoczonych”.

„Katolicy bezdomni”

Sprawa abp. Cupicha wykazała podziały w amerykańskim episkopacie. Co ciekawe, w związku z głosami krytycznymi, także ze strony grupy biskupów, chicagowski senator sam postanowił, że nie przyjmie nagrody za swoją działalność proimigracyjną.

Na wieść o tym abp Cupich wyraził ubolewanie, że polaryzacja w Stanach Zjednoczonych stwo-

rzyła sytuację, w której katolicy (jest ich dziś w Stanach prawie 60 mln) „czują się politycznie bezdomni”, ponieważ ani Partia Republikańska, ani Partia Demokratyczna nie odzwierciedlają w pełni całego zakresu nauczania katolickiego.

Można powiedzieć, że Leon XIV znalazł się w sytuacji arbitra usiłującego pogodzić w kwestiach etycznych dwa zwaśnione skrzydła amerykańskich hierarchów.

Dochodzi do tego kwestia wojen toczonych przez Stany Zjednoczone. Papież ostro skrytykował działania Stanów w Wenezueli, a podczas spotkania z wiernymi na Placu Świętego Piotra w marcu wyraził solidarność z cywilami na Bliskim Wschodzie, którzy cierpią z powodu trwającego tam konfliktu, którego jedną ze stron są także Amerykanie. – Przemoc nigdy nie będzie mogła doprowadzić do sprawiedliwości, stabilności i pokoju, którego oczekują narody – zaznaczył Leon XIV.

Podobnie jest w przypadku wojny USA z Iranem. Gdy Donald Trump wystosował w stronę przywódców Iranu ultimatum, Leon XIV oświadczył, że groźby wobec całego narodu Iranu są „naprawdę niedopuszczalne”, a ataki na infrastrukturę cywilną są wbrew prawu międzynarodowemu.

W kwietniu podczas rozmowy z dziennikarzami w Castel Gan-

dolfo amerykański papież podkreślił, że wiele osób nazywa wprost wojnę z Iranem „niesprawiedliwą”.

Na linii Trump – Leon XIV można wręcz mówić o otwartym konflikcie. Gdy w kwietniu 2026 r. z ust papieża padły słowa o „garście tyranów”, zostało to odbierane jako bezpośrednie uderzenie w prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trump w odwecie nazwał papieża słabym i zarzucił mu liberalizm. Widać, że konflikt ma charakter nie tylko ideowy i polityczny, ale także osobisty.

Nawet wiceprezydent USA J. D. Vance, nawrócony katolik, stwierdził, że papież powinien być „bardziej ostrożny” w swoich wypowiedziach na temat teologii, a w innym miejscu zasugerował, że Leon XIV, pierwszy augustynianin na tronie papieskim, nie rozumie doktryny wojny sprawiedliwej.

Escalacja sporu i sygnały pojednawcze

Jakie konsekwencje może mieć spór amerykańskiego prezydenta z amerykańskim papieżem? Komentatorzy wskazują, że jedną z możliwości odpowiedzi ze strony administracji Trumpa będą cięcia finansowań dla programów prowadzonych przez Kościół katolicki. Przedsnak tego mieliśmy już w Miami, gdzie administracja rządowa wstrzymała dotacje dla ośrodków tamtejszego Caritasu.

Inną niepokojącą możliwością jest rozbudzenie antykatolickich nastrojów w USA, które mają w tym kraju wieloletnie tradycje. Rząd federalny teoretycznie mógłby też pozbawić Kościół katolicki zwolnienia z podatków, aczkolwiek jest to opcja, którą nazwać by można „atomową”.

Jednocześnie w tym konflikcie pojawiają się sygnały o charakterze pojednawczym. Np. papież Leon XIV został wyróżniony Medalem Wolności przyznawanym przez amerykańskie Narodowe Centrum Konstytucyjne – taką informację 14 lipca 2026 r. podała Vatican News.

W ten sposób instytucja chce „uhonorować wkład Leona XIV w promowanie ideałów uchwalonej w 1791 r. Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA, która gwarantuje fundamentalne wolności: religii, słowa, prasy, pokojowych zgromadzeń oraz petycji do rządu”. Przyznanie papieżowi odznaczenia ma związek z obchodami 250-lecia założenia USA.

BEZPIECZEŃSTWO

Toną bez krzyku, często kilka metrów od innych

W wodzie najczęściej giną mężczyźni, a alkohol wciąż przewija się w tragicznych statystykach. Ratownicy widzą też brawurę, skoki z pomostów i pływanie bez asekuracji. Wystarczy chwila paniki lub przecenienie własnych sił. Gdy ktoś znika pod wodą, na ratunek zostają zaledwie minuty.

Justyna Piasecka-Gabryel

26 czerwca tego roku, Jezioro Pamiatkowskie w Wielkopolsce. Jest wieczór, kiedy służby dostają zgłoszenie o 17-latku, który podczas pływania znika pod wodą. Na miejsce rusza 11 zastępów straży, łodzie i specjalistyczna grupa wodno-nurkowa z Poznania. Chłopaka odnajduje pod wodą nurek. Ratownicy podejmują resuscytację i udaje im się przywrócić funkcje życiowe. Nastolatek śmigłowcem trafia do szpitala w Poznaniu. Dzień później umiera.

Rok wcześniej cała Polska usłyszała o tragedii nad Jeziorem Ośno koło Wolsztyna. 15-letni harcerz podczas nocnej próby na stopień „ćwika” miał przepłynąć około 500 metrów. W pełnym umundurowaniu i butach. Nie dopłynął. Zniknął pod wodą, jego ciało odnaleziono kilka godzin później. Sprawa trafiła do sądu. O narażenie chłopca na bezpośrednie niebezpieczeństwo i nieumyślne doprowadzenie

do jego śmierci oskarżeni zostali drużynowy oraz ratownik WOPR. Według prokuratury obaj pozostali na pomoście i nie zapewnili nastolatkowi właściwej asekuracji.

W kwietniu 2024 roku grupa znajomych wynajęła domek w Bieślinie koło Trzemeszna na wieczór kawalerski. W nocy trzech mężczyzn wypłynęło łódką na Jezioro Ostrowickie. Łódź się przewróciła. Wszyscy znaleźli się w wodzie. Dwóch mężczyzn udało się uratować. 23-letni mieszkaniec Poznania utonął.

Sierpień 2023 roku, Jezioro Maltańskie w Poznaniu. Około godz. 22 młody mężczyzna wchodzi do wody. Po przepłynięciu kilku metrów zaczyna tonąć. Dwie osoby, które były z nim, próbują go ratować. Bezskutecznie. Strażacy wydobywają z jeziora ciało 28-latka.

Jedną z najbardziej wstrząsających tragedii wydarzyła się w lipcu 2021 roku w Antoninie. Dwupółletni chłopiec wyszedł rano

z domku letniskowego, dotarł nad zbiornik Szperek i wpadł do wody. Mimo reanimacji nie udało się go uratować. W listopadzie 2022 roku sąd skazał oboje rodziców na pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata za niedopilnowanie dziecka i nieumyślne spowodowanie jego śmierci.

Nie ma trwałego spadku

Takich historii są co roku setki. W latach 2016–2025 w Polsce utonąło 4435 osób. Przez kilka lat liczba ofiar utrzymywała się na podobnym poziomie. Wyrazny spa-

– Z wiekiem sprawność spada. Osoby w średnim wieku (...) nie chodzą na basen, nie ćwiczą. A później dochodzi jeszcze alkohol i chęć zaimponowania komuś – mówi Marek Frąckowiak z wielkopolskiego WOPR

dek przyniósł dopiero 2025 rok, kiedy w wodzie zginęły 292 osoby. Tragedii nie brakuje także w tym roku. Według danych Rządowego Centrum Bezpieczeństwa od 1 kwietnia do 3 sierpnia w Polsce utonąło 140 osób.

– W lipcu w Wielkopolsce nie odnotowaliśmy żadnego przypadku utonięcia. To dla nas bardzo pozytywny wynik – mówi podkom. Katarzyna Sammler z Komisarzatu Wodnego Policji w Poznaniu.

Nie oznacza to jednak, że nad wodą było spokojnie. W ciągu miesiąca policjanci ujawnili 90 wykroczeń, z czego 64 na wodzie. Nałożyli 64 mandaty.

Liczba utonięć bardzo mocno zależy od pogody. Marek Frąckowiak, rzecznik wielkopolskiego WOPR, zwraca uwagę, że kiedy pada i jest chłodno, ludzi nad jeziorami jest mało. Wystarczy kilka gorących dni i sytuacja zupełnie się zmienia. Przy temperaturach przekraczających 25–30 stopni w skali

kraju może dochodzić nawet do kilkunastu utonięć dziennie.

Potwierdził to także ubiegły rok. W wakacje 2025 roku utonął w Polsce 122 osoby. Rok wcześniej było ich 187, a w 2023 roku – 183. Ratownicy wskazywali wtedy przede wszystkim na chłodniejsze lato, które po prostu rzadziej wyciągało ludzi nad wodę.

Mężczyzna po czterdziestce

Statystyki pokazują też, kto ginie najczęściej. W ciągu dziesięciu lat około 88 proc. wszystkich ofiar stanowili mężczyźni. Niemal połowa – 48,5 proc. – miała więcej niż 50 lat.

– Z wiekiem sprawność spada. Osoby w średnim wieku czasami mają kontakt z wodą dwa, trzy razy w roku. Nie chodzą na basen, nie ćwiczą. A później dochodzi jeszcze alkohol i chęć zaimponowania komuś – mówi Frąckowiak.

W rozmowie pada zdanie, które ratownicy słyszą nad wodą częściej, niż chcieliby słyszeć: „Dziesięć lat temu całe jezioro opływałem”.

Problem zaczyna się wtedy, gdy ktoś swoje umiejętności z basenu przenosi wprost na jezioro.

Na basenie co 25 metrów jest ściana. Można się od niej odbić, zatrzymać, złapać liny. Woda jest przejrzysta, nie ma fal ani roślinności. W jeziorze drugi brzeg, który wydaje się blisko, może być oddalony o kilkaset metrów.

– Tutaj trzeba przepłynąć 100 czy 200 metrów bez przerwy. Nie ma zatrzymania się, nie ma lin. Woda jest zimna i nieprzezroczysta. Nie daj Boże jeszcze jakaś ryba nas muśnie i zaczyna się panika – tłumaczy Frąckowiak.

Podkom. Katarzyna Sammler mówi, że właśnie ludzie pływający samotnie daleko od brzegu są jedną z największych bolączek policjantów.

Nie mają bojki, nikt nie płynie obok nich łodzią czy kajakiem. Jeśli przyjdzie skurcz, człowiek się zachłynie albo nagle źle się poczuje, nie ma czego się złapać. Przepisy nie nakazują pływakowi zabrania bojki, więc policjant nie może za jej brak wystawić mandatu.



Marek Frąckowiak z wielkopolskiego WOPR podkreśla, że po zniknięciu człowieka pod wodą na ratunek jest zaledwie 4–6 minut

FOT. ROBERT WOŹNIAK

– Bez bojkli, bez środków aseku-racyjnych, jeżeli cokolwiek wyda-ry się na wodzie, to naprawdę może być kwestia kilkudziesięciu sekund – mówi Sammler.

Alkohol nad wodą wciąż jest normą

Drugi problem nie zmienia się od lat: alkohol. Z policyjnych sta-tystyk z lat 2016-2025 wynika, że jego spożycie przed utonięciem stwierdzono u 963 ofiar, czyli u więcej niż co piątej. W rzeczy-wistości nie w każdym przypadku można później jednoznacznie ustalić wszystkie okoliczności zda-rzenia.

– Nietrudno sobie wyobrazić, jak wygląda nietrzeźwa osoba. Idzie ulicą chwiejnym krokiem. I dokładnie w takim samym stanie ludzie wchodzą do wody – mówi Frąckowiak. – Wystarczy kilka kro-ków, tracą grunt, dochodzą zabu-rzenia równowagi. Człowiek za-czyzna pić wodę i tonie.

Alkohol to także częsty problem podczas policyjnych kontroli. Na rowerze wodnym, kajaku czy SUP-ie trzeba być trzeźwym, a po-licja może to sprawdzić alkoma-tem. – Spotykamy osoby pod wpły-wem alkoholu na jednostkach pły-wających. Wtedy pojawia się bra-wura i bardzo łatwo o niebez-pieczną sytuację – mówi podkom. Katarzyna Sammler.

Mandat grozi też za brak wyma-ganych środków ratunkowych. Po-licjanci często spotykają się z tym u osób pływających na SUP-ach, które kupują deskę, ale nie spraw-dzają, jakie wyposażenie powinny mieć ze sobą.

Jak wygląda to z perspektywy ratownika na plaży, opowiada Ja-kub, który od dwóch lat pracuje nad poznańską Rusałką.

– Osób pod wpływem alkoholu jest bardzo dużo. I w każdym wieku. Bardzo często, kiedy ktoś jest już pod wpływem, zaczyna się też awanturować – mówi.

Ratownicy najpierw każą takiej osobie wyjść z wody. Jeżeli polece-nie nie działa, wzywają policję.

– W cieplejsze dni bywa, że po-licja przyjeżdża dwa, trzy razy dziennie – przyznaje Jakub.

Tonący nie woła o pomoc

Najbardziej mylące może być samo tonięcie. Człowiek, który walczy o życie, zwykle nie macha rękami i nie krzyczy. Próbuje przede wszystkim utrzymać usta

– Nawet jeżeli jesteśmy na kąpielisku strzeżonym, to na rodzicach i opiekunach spoczywa obowiązek obserwowania dzieci – mówi podkom. Katarzyna Sammler z Komisariatu Wodnego Policji w Poznaniu



Policjanci wodni codziennie patrolują wielkopolskie jeziora, kontrolując trzeźwość i bezpieczeństwo osób na wodzie

nad wodą. Zanurza się, połyka wodę, na chwilę wynurza i łapie oddech. – Osoba tonąca tonie po cichu. Może utonąć dwa metry od nas, a my nawet się nie zorientujemy – mówi Marek Frąckowiak z WOPR.

Na reakcję jest bardzo mało czasu. Według Frąckowiaka po zniknięciu człowieka pod wodą najważniejsze jest pierwsze 4-6 minut. Dlatego tak ważne jest, by pomoc była na miejscu od razu. Nawet najlepiej wyposażona grupa wodno-nurkowa potrzebuje czasu, by dotrzeć nad jezioro.

– Zanim w godzinach szczytu strażacy dojadą z centrum Pozna-nia do np. Jeziora Kierskiego, może minąć 30-40 minut. Wtedy nie mówimy już o akcji ratunkowej, tylko poszukiwawczej – tłumaczy.

WOPR przestrzega też przed rzucaniem się w pływ na po-moc tonącemu, jeśli nie mamy od-powiedniego przygotowania. Osoba walcząca o życie może chwycić ratownika i wciągnąć go pod wodę. Najpierw trzeba zaalar-mować osoby wokół, wezwać służby i znaleźć kogoś, kto potrafi bezpiecznie pomóc tonącemu.

Dziecka nad wodą trzeba pilnować

Nad Rusałką Jakub za jedno z naj-większych zagrożeń uważa skoki z pomostu. Kilka osób skacze jed-nocześnie, podczas gdy tuż pod nimi ktoś pływa. Do tego woda pod pomostem ma miej-scami około 1,6 metra głębokości. Skok na główkę może więc skoń-czyć się ciężkim urazem.



Podkom. Katarzyna Sammler z Komisariatu Wodnego Policji w Poznaniu przestrzega przed pływaniem bez asekuracji i przecenianiem własnych możliwości

Zdarza się też, że ludzie wcho-dzą do wody tuż obok kąpieliska, żeby ratownik nie zwracał im uwagi, że wypływają za daleko.

– Najbezpieczniej jest kąpać się na kąpielisku strzeżonym. Poza jego granicami możliwości ratow-nika są już ograniczone, bo jego podstawowym zadaniem jest pil-nowanie bezpieczeństwa na sa-mym kąpielisku – mówi podkom. Sammler.

Szczególną uwagę policjanci i WOPR zwracają na dzieci. Frą-cковиak mówi o rosnącej liczbie

alarmów wszczynanych po zgło-szeniu, że dziecko zniknęło na za-tłoczonej plaży. Powtarza się po-dobny scenariusz: dorosły na chwilę zajmuje się telefonem, po kilku minutach nie widzi dziecka i biegnie do ratowników przekonany, że mogło wejść do wody. Ratownicy opróżniają kąpielisko i rozpoczynają poszuki-wania. Po chwili okazuje się cza-sem, że dziecko poszło na plac za-baw. W gorące dni takich zgłoszeń może być kilka. – Nawet jeżeli je-steśmy na kąpielisku strzeżonym,

to na rodzicach i opiekunach spo-czywa obowiązek obserwowania dzieci – przypomina Sammler. – Nie może być tak, że rodzice leżą na kocu, śpią albo piją alkohol, a dziecko samo znajduje się przy wodzie.

Ratownik patrzy na całe kąpie-lisko. W upalny dzień może mieć przed sobą setki ludzi.

– To my odpowiadamy za wła-sne dzieci – mówi policjantka. – Je-żeli jest grupa dorosłych, niech chociaż jedna osoba pozostanie trzeźwa.

Ryszard Tadeusiewicz,
profesor AGH



Zakłócenia sygnału GPS

Podczas wakacji wiele podróżujemy, więc przydaje się nam GPS (Global Positioning System). Mały odbiornik, obecnie często wbudowany do telefonu komórkowego a nawet do zegarka, współpracujący ze skomplikowanym systemem satelitów krążących w kosmosie i dysponujących atomowymi zegarami, pozwala podróżnikowi ustalić swoje położenie w dowolnym punkcie kuli ziemskiej. Niestety, obecnie w wielu rejonach świata działanie tego systemu jest celowo zakłócanie, głównie z powodów związanych z wojną. Najsilniej GPS zakłócany jest na Bliskim Wschodzie w związku z wojną USA z Iranem, ale wojna między Ukrainą i Rosją także skutkuje celowymi zakłóceniami sygnału GPS, co przenosi się także do Polski, gdzie niekiedy notuje się nieprawidłowe działanie GPS. Najgorsza sytuacja była w marcu tego roku, kiedy system GPS był zakłócany na terenie całej Polski. Obecnie zakłócenia notuje się niekiedy we wschodnich i północnych województwach, ale są serwisy internetowe pozwalające na bieżąco sprawdzać, gdzie ewentualnie powinniśmy liczyć się z utrudnieniami. Nie podaję nazw, bo tych serwisów jest kilka.

Żeby zrozumieć, jak zakłócany jest GPS, trzeba sięgnąć do wiedzy na temat tego, czym jest ten system.

Jego bazą jest zespół sztucznych satelitów krążących wokół Ziemi na wysokości około 20 183 km. Satelitów tych jest

około 30 – liczba ta zmienia się, bo Departament Obrony Stanów Zjednoczonych który wytworzył system GPS i nim na bieżąco zarządza, systematycznie wystrzeliwuje nowe satelity i usuwa z orbit stare lub uszkodzone. Może je także w każdej chwili wyłączyć, gdyby tego wymagał interes USA, ale od 1978 roku, kiedy wystrzelono pierwszego satelitę, nigdy tego nie zrobiono. Początkowo GPS (od 1991 roku) służył wyłącznie do zastosowań wojskowych, ale od 2000 roku udostępniono go także do zastosowań cywilnych.

Satelity dzielą się na dwie grupy: jedne mają orbity nachylone pod kątem 55 stopni do płaszczyzny równika i te dają bardzo dobrą nawigację w USA i Europie. Potem dodano grupę satelitów z orbitami nachylonymi pod kątem 63 stopni, żeby pokryć obszary bliższe biegunom.

Ustalanie położenia w systemie GPS polega na dokładnym określaniu czasu, kiedy sygnał z satelity dotarł do odbiornika użytkownika. Znając moment wysłania sygnału przez satelitę i szybkość rozchodzenia się fal

radiowych, można obliczyć odległość od satelity do odbiornika. Dokładając do tego informację o położeniu satelity w momencie wysyłania sygnału, można wyznaczyć na powierzchni Ziemi zbiór punktów właśnie tak odległych od nadającego sygnał satelity. Taki zbiór punktów jest jeszcze nieprzydatny, ponieważ jest to w istocie ogromny okrąg. Nasz odbiornik jest gdzieś na tym okręgu. Ale mierząc w ten sam sposób odległość od drugiego, trzeciego, czwartego itd. satelity otrzymujemy układ okręgów, które się przecinają. Miejsce, w którym przecinają się wszystkie wyznaczone okręgi, jest lokalizacją naszego odbiornika. W połączeniu z mapami cyfrowymi pozwala to wyznaczyć trasę do dowolnego celu i prowadzić aktywną nawigację podczas jazdy samochodem, ale także przy jeździe rowerem, podczas wędrówki pieszej czy w czasie żeglowania.

Tak to działa przy braku zakłóceń. Chcący zakłócić działanie tego systemu – a najczęściej są to wojskowi próbujący ochronić się przed atakiem dronów lub rakiet naprowadzanych sygnałem GPS – używają silnych nadajników wysyłających falę radiową o tej samej długości, co sygnał z satelitów GPS – no i odbiornik w nadlatującym pocisku „głupieje”. A że przy okazji zakłócona jest nawigacja wszystkich urządzeń GPS w pobliżu, w tym także tych cywilnych na terenie Polski – to już jedna z bardzo wielu szkód toczącej się za naszą wschodnią granicą okrutnej wojny.

W połączeniu z mapami cyfrowymi pozwala to wyznaczyć trasę do dowolnego celu i prowadzić aktywną nawigację podczas jazdy samochodem

RYSZARD TADEUSIEWICZ,
profesor AGH

HUMOR

– Panie dyrektorze, czy mógłbym otrzymać dzień urlopu, by pomóc teściowej przy przeprowadzce?
– Wykluczone!
– Bardzo dziękuję, wiedziałem że mogę na pana liczyć...

Nauczycielka przechadzała się po sali, obserwując rysujące dzieci. Od czasu do czasu zaglądała, jak idzie praca. Podeszła do dziewczynki, która w skupieniu coś rysowała. Nauczycielka spytała ją, co rysuje.
– Rysuję Boga – odpowiedziała dziewczynka.
– Ale przecież nikt nie wie, jak Bóg wygląda – powiedziała zaskoczona nauczycielka.
Dziewczynka mruknęła, nie przerywając rysowania:
– Za chwilę będą wiedzieli.

– Czego szukasz, piękna kobieto?
– Chcę żyć z kimś, kto odmieni moje życie!
– Moje życie, mojego życia, mojemu życiu.

– Co to za zgromadzenie?
– Konferencja na temat przekładu literatury.
– Rozumiem. To wiele tłumaczy.

Dzwoni domofon.
– Kto tam?
– Ja do wymiany okien.
– Już przyszedł jeden pan i wymienia.
– To ja. Wypadłem.

Żona do męża:
– Musisz iść do okulisty, koniec i kropka!
– Ale dlaczego?
– To, że od jakiegoś czasu nie dostrzegasz dziur w jezdni, to jedno. Ale ostatnio przestałeś już nawet zauważać młode dziewczyny w krótkich spódniczkach.

Rozmawia dwóch psychologów.
– Wiesz – mówi pierwszy – wystarczy krzyknąć „Aaaaaa!” w bibliotece, a wszyscy się na ciebie gapią w milczeniu.
– A próbowałeś zrobić to samo w samolocie? – pyta drugi. – Wszyscy się przyłóczają.

NASZE SMAKI



FOT. KATARZYNA JAWOREK

Ciasto „Smerfetka”

Składniki na biszkopt:
2 jajka
1/3 szklanki cukru
3 łyżki oleju
2/3 szklanki mąki
1 łyżeczka proszku do pieczenia
1/2 łyżki octu, szczypta soli

Pianka:
300 ml śmietany 36%
2 opakowania galaretki niebieskiej

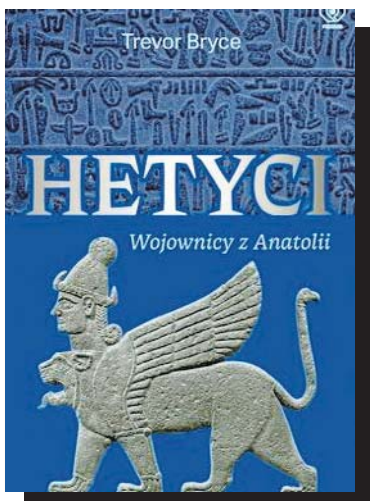
Dodatkowo:
150 g borówek amerykańskich,
2 opakowania galaretki niebieskiej
niebieska posypka do dekoracji

Biszkopt: Żółtka oddzielić od białek. Białka razem ze szczyptą soli ubić na sztywną pianę. Nie przerywając ubijania dodawać cukier oraz żółtka. Następnie stopniowo dodawać olej, mąkę, ocet oraz proszek do pieczenia. Ciasto przełożyć do wyłożonej papierem do pieczenia tortownicy o średnicy 24 cm. Piec 25 minut w temperaturze 180 stopni.
Pianka: Dwie niebieskie galaretki rozpuścić w 1,5 szklanki wrzącej wody. Przystudzić. Schłodzoną śmietanę ubić na sztywno. Do śmietany dodać tężejącą galaretkę. Wszystko razem zmiksować. Masę wyłożyć na biszkopt. Wyrównać i odstawić do stężenia. Na stężonej pianie ułożyć borówki amerykańskie. Pozostałe dwie galaretki rozpuścić w 3 szklankach wrzątku. Odstawić do przestudzenia. Tężejącą galaretką zalać borówki na cieście. Wierzch ciasta posypać niebieską posypką. Ciasto wstawić na 2 godziny do lodówki.
Przepis Katarzyny Jaworek, autorki bloga „Tradycyjna kuchnia Kasi”

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY



Poleca
Mariusz Grabowski



Bliskie spotkanie z Hetytami

Trevor Bryce, filolog klasyczny z australijskiego Queensland, nie bez powodu nosi tytuł „głównego hetytologa”. Jego wywód o Hetytach to opowieść o jednej z najbardziej tajemniczych starożytnych cywilizacji sprzed ponad trzech tysięcy lat. Wciągająca, lecz jednocześnie niosąca gorzką prawdę o zmienności świata.

Bryce analizuje historię, kulturę społeczną, religijną i polityczną tego państwa ze stolicą w Hattusa (dziś Boğazkale w Turcji), ukazując Hetytów jako niepokonanych wojowników, mistrzów walki na rydwanach, którzy niemal zmiażdżyli Ramzesa II w bitwie pod Kadesz w 1274 r. p.n.e., gorliwych wyznawców licznych panteonu bogów (kto nie był wierzący, szedł pod

miecz), a nawet twórców nowego systemu dyplomatycznego.

W okresie swojej największej świetności Hetyci kontrolowali Anatolię, północną Mezopotamię, Syrię i Palestynę. Państwo Hetytów upadło około 1200 p.n.e., zapewne pod naporem Ludów Morza, chociaż nieeliczne hetyckie miasta-państwa w północnej Syrii przetrwały – jeśli wierzyć teom Bryce’a – jeszcze do roku 708 przed Chrystusem.

Trevor Bryce, „Hetyci. Wojownicy z Anatolii”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 89 zł *consectetur mauris velit id tellus.*

CZYTELNIA

„Wpadnij, napijemy się czegoś, pogadamy”

Jak dowodzą biografowie Johna Steinbecka, uwielbiał on pisać listy. Przelewanie myśli na papier stanowiło dlań coś więcej niż tylko codzienny rytuał. Były kluczem do odnalezienia odpowiedniego rytmu, rozgrzewką, która pozwalała mu płynnie przejść do sedna twórczości.

Najobficiej powstawały równoległe z kolejnymi rozdziałami „Na wschód od Edenu”, stanowiąc intymny komentarz do rozwijającej się historii. Pisarz pobił wówczas epistolograficzny rekord, wysyłając do Pascala Covicio, swego bliskiego przyjaciela i redaktora z wydawnictwa The Viking Press, tony korespondencji.

Steinbeckowe listy dotykają ponadto niezwykle szerokiego wachlarza tematów – od technicznych problemów z planowaniem skomplikowanej fabuły, przez próby warsztatowe i poszukiwanie idealnego słowa, aż po bardzo osobiste rozważania, które nierozwiewalnie splatały się z procesem tworzenia.

Dzięki nim możemy zobaczyć Steinbecka nie tylko jako tytana literatury (noblistę z 1962 r.), ale także jako człowieka z jego codziennymi zmaganiem, dyscypliną, wątpliwościami i niezaśpokojoną potrzebą rozmowy z kimś, komu po prostu bezgranicznie ufał.



John Steinbeck, „Dziennik pisarza. Na wschód od Edenu w osobistych zapiskach”, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, cena 54,99 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Rafał Brzozowski Jest już żonaty

W minioną sobotę Rafał Brzozowski i jego wybranka o imieniu Helena wzięli ślub w kościele w Nowym Dworze Mazowieckim. Nowożeńcy zadbali o prywatny charakter wydarzenia, dlatego przy wejściu do świątyni ośmiu ochroniarzy pilnowało, by na uroczystość weszły wyłącznie osoby posiadające imienne zaproszenia. Pan młody zaprezentował się w białym garniturze, natomiast panna młoda zachwyciła w efektownej sukni z dekoltem typu sweetheart, gorsetowym stanikiem i subtelnymi opadającymi ramiączkami. W ślubie uczestniczyło aż 400 gości, w tym Izabella Krzan, Marta Manowska, Małgorzata Tomaszewska czy Krzysztof Gojdz, który zabrał na mszę... swego psa. W drodze do ołtarza nie obyło się bez wpadki. Drużna przydepnęła welon panny młodej, przez co ten spadł jej z głowy.

Anna Lewandowska Nie ma poczucia winy

Celebrytka szykuje się do przeprowadzki z całą rodziną za ocean. Żeby wywołany tym stres nie odbił się na jej córkach, obie dziewczynki spędzają wakacje u rodziny. Lewandowska zamieściła na InstaStories zdjęcia z tego wypoczynku i napisała: „Ostatnio otrzymałam kilka wiadomości (i to od panów): „Jak możesz tak wyjechać i zostawić dzieci?”. Normalnie: wsiałam, jadę, a dzieci płaczą... ale tylko wtedy, gdy musimy już wracać do domu. Dziewczynki mają wakacje życia u babć z całą naszą rodziną (konie, traktory, brak limitów na słodycze) i zarówno one, jak i rodzina są przeszczęśliwi. I nie, nie mam poczucia winy, bo dzieci są pod najlepszą opieką na świecie”.

Sandra Kubicka Nosila podarte dżinsy

Niedawno celebrytka udzieliła wywiadu „Vivie”, w którym opowiedziała o swym trudnym dzieciństwie. Kubicka wychowywała się bez ojca, który mieszkał na tej samej ulicy, ale nie utrzymywał z nią kontaktów. Matka modelki wyjechała do USA, aby w Miami pracować jako sprzątaczką w hotelu i wysyłała pieniądze do Polski. Sandra mieszkała od siódmego roku życia z dziadkami. – Moja mama wysyłała mi ubrania ze Stanów Zjednoczonych. Wtedy modne były jeansy z dziurami. Ja pamiętam, jak poszłam raz do szkoły, taka uradowana, że mam takie trendy, fajne jeansy, a dzieci dokuczały, że mam porwane te jeansy, że pewnie jestem z tak biednej rodziny, że po prostu nie stać mnie na normalne – powiedziała „Vivie”.



FOT. SYLWIA DABROWA

Sylwia Bomba jest widywana u boku nowego partnera – tak twierdzą plotkarskie media

Alicja Bachleda-Curuś Gawędziła po angielsku

Od kilku dni popularna aktorka, która na co dzień mieszka w Los Angeles, przebywa z synem Henrym Tadeuszem w Polsce. Najpierw zauważono ich w Warszawie, gdzie wybrali się o zmroku na plenerową imprezę. Podczas nocnego wyjścia oboje postawili na luźne stylizacje. Oboje wyraźnie cieszyli się wspólnym czasem i rozmowami w gronie znajomych. Po zakończonym wieczorze ruszyli w stronę taksówki. Potem w miniony weekend wypatrzone aktorkę i jej syna w Krakowie, gdzie zapewne pojawili się, aby odwiedzić dziadków chłopaka. Alicja i Henry wybrali się do jednego z podwawelskich kin, aby obejrzeć „Odyseję”. Po seansie paparazzi nagrali ich, gdy maszerowali po parkingu w kierunku zaparkowanego tam starszego Audi A3. W drodze do auta szesnastolatek podskakiwał i gawędził z mamą po angielsku.

Sylwia Bomba Ma nowego partnera

Przez ponad dwa lata Sylwia Bomba i Greg Collins uchodzili za jedną z najbardziej zgranych par w rodzimym show-biznesie. Wspólne wakacje, zdjęcia w mediach społecznościowych, a nawet występy w telewizyjnych programach sprawiały, że wrócono im stabilny związek. Uczucie między celebrytą, znaną z TVN Turbo, a gwiazdą TTV narodziło się na planie programu „Nasi w mundurach” w 2023 r. Od niedawna Bomba i Collins przestali jednak pokazywać się razem. Para coraz rzadziej publikowała też wspólne treści w mediach społecznościowych. Okazuje się, że nie bez powodu. – Do rozstania doszło już jakiś czas temu. Sylwia jest widywana u boku nowego partnera – mówi informator Pudelka.

Skolim Nie przyjmuje czworonogów

Rodzimy „król latino” od lat udowadnia, że ma smykałkę do biznesu. Ma własną stację benzynową, firmuje wyroby mięsne, a także sygnuje swym pseudonimem walizki czy majtki. Jakiś czas temu pochwalili się również nadmorskim pensjonatem z pokojami do wynajęcia. Willa Drako to obiekt położony w Międzyzdrojach ok. 100–150 metrów od plaży. Do wyboru są w nim pokoje dwu- i trzyosobowe oraz większe apartamenty. Niektóre z nich mają również balkony, które stanowią dodatkowy atut pobytu. Ceny noclegów są uzależnione od wielkości pokoju i wybranego terminu. Za dwie noce w pokoju dwuosobowym z balkonem trzeba zapłacić ok. 1.119 zł w ofercie bezzwrotnej. Pokój trzyosobowy to koszt ok. 2.382 zł. Uwaga: pensjonat nie przyjmuje czworonogów.

Klaudia El Dursi Ma potrzebę wolności

Prezenterka jest obecnie związana z przedsiębiorcą Jackiem Leszczyńskim. Para doczekała się syna i córki, ale wychowuje też syna El Dursi z jej poprzedniego związku. Kiedy niedawno celebrytka urządziła w internecie sesję pytań i odpowiedzi z fanami, jeden z nich rzucił: „Czy Klaudia El Dursi ma męża?”. Na to prezenterka odpowiedziała dowcipnie: „Nikogo nie stać na to, żeby być moim mężem”. Po czym dodała: „Męża nie mam, mam partnera. Nigdy o tym nie marzyłam. Dziewczyny marzą o różnych rzeczach – białych sukniach, weselach, a ja w ogóle nie. Od dziecka miałam silną potrzebę bycia niezależną i wolną. I chyba takie niezamężne życie daje mi złudne poczucie wolności. Dzieci tak nie wiążą, ale ślub już ja-koś tak” – podsumowała.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Serce podpowie najlepszy wybór. Horoskop dzienny wróży, że gest życzliwości wróci do Ciebie z nawiązką.

Ryby (19.02 - 20.03)
Kreatywność pomoże rozwiązać problem. Horoskop na dziś radzi otworzyć się na nowe możliwości i ludzi.

Baran (21.03 - 19.04)
Wytrwałość zostanie nagrodzona. Horoskop dzienny na piątek mówi, że szybko osiągniesz zamierzony cel.

Byk (20.04 - 20.05)
Energia sprzyja działaniu. Horoskop dzienny mówi, że krótka podróż lub spacer przyniosą inspirację.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Intuicja wskaże właściwy kierunek. Horoskop na dziś radzi nie ignorować drobnych znaków od losu.

Rak (22.06 - 22.07)
Harmonia w relacjach poprawi humor. Horoskop dzienny na piątek mówi, że znajdziesz rozwiązanie trudnej sprawy.

Lew (23.07 - 22.08)
Szczegóły okazały się ważne. Horoskop dzienny zapowiada, że dobra organizacja pozwoli uniknąć zbędnego stresu.

Panna (23.08 - 22.09)
Twoja pewność siebie przyciągnie sukces. Horoskop na dziś to wskazówka, by działać śmiało, lecz pamiętać też o rozwadze.

Waga (23.09 - 22.10)
Dom i bliscy dadzą Ci wsparcie. Horoskop dzienny na piątek mówi, że wieczór przyniesie wyciszenie i dobrą wiadomość.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Dobry moment na nowe pomysły. Horoskop dzienny wróży, że uśmiech otworzy drzwi do ciekawych znajomości.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Cierpliwość przyniesie efekty. Horoskop na dziś mówi, że miła rozmowa poprawi Ci nastrój i doda energii.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Dzień sprzyja odważnym decyzjom. Horoskop dzienny na piątek wróży, że jeśli zaufasz intuicji, zyskasz spokój i nowe możliwości.

REKLAMA 0011431775

INFORMATOR MEDYCZNY

Jeżeli chcecie Państwo umieścić ogłoszenie:

Zadzwońcie: 12 688-84-40

Wysyłajcie maile: reklama.krakow@polskapress.pl

REKLAMA 0011431595

COR-MED
www.cor-med.com

CENTRUM CHOROÓB SERCA
PEŁNA DIAGNOSTYKA
KONSULTACJE ORDYNATORÓW,
PROFESORÓW I DOCENTÓW

♦ Echo serca i naczyń (Doppler kolor)
♦ EKG ♦ EKG wysiłkowe ♦ Holter ♦ Holter ciśnieniowy

Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 118
Rejestracja tel. (12.00-17.00)
012 636 44 22

REKLAMA 0011562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m²,
powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

REKLAMA 0011560190

Lilia

zakład pogrzebowy

- kompleksowa organizacja uroczystości pogrzebowych
- rozliczenie bezgotówkowe
- całodobowy transport zmarłych
- szeroki wybór trumien i urn
- kwiaty, tabliczki, klepsydry, nekrologi
- kremacje

KRAKÓW, ul. Św. Łazarza 21, tel. 12 421 24 80
KRAKÓW, ul. Bronowicka 19, tel. 12 637 00 07
KRAKÓW, ul. Grota Roweckiego 7G, tel. 507 111 121
CMENTARZ BATOWICE, ul. Powstańców 20, tel. 507 125 130
CMENTARZ RAKOWICE, ul. Rakowicka 39, tel. 507 111 456

www.liliakrakow.pl

DYŻUR CAŁODOBOWY 507 111 211

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

MIESZKANIE.LOKAL.GARAŻ.
DZIAŁKĘ tylko od właściciela kupię.
510 061 820

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

500-692-371 Kupię każdy samochód

Praca

ZATRUDNIĘ

BRUKARZ_OPERATOR. Tel. 669025229

SZUKAM PRACY

OBWARZANKI - podejmę pracę. 886-215-559.

Zdrowie

STOMATOLOGIA



Akryle, protezy, nylony, szkielety, mosty. Boh. Września 1, 12/645-93-33.

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato
Pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach.
Zadzwoń już dziś: 41-378-19-48 lub 696 -958- 319
www.santo.com.pl

Usługi

AGD RTV FOTO

! ANTENY ! RTV dom. 575-412-346.

INSTALACYJNE

!!!500-003-103 HYDRAULIK

!!!HYDRAULIK 500-003-103 AWARIE

HYDRAULICY AWARIE 730-066-539

Turystyka

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

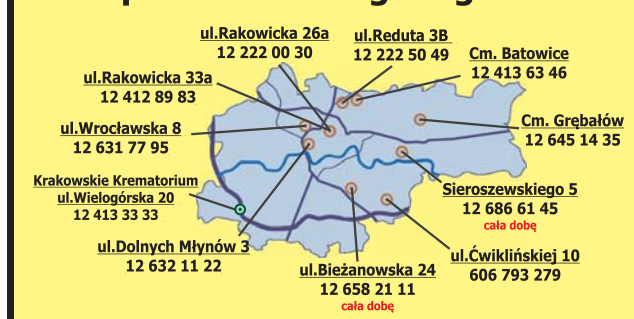
REKLAMA 0011560191

KARAWAN GRUPA
FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU

CAŁĄ DOBĘ
12 411 11 11
12 658 21 11
również w Niedziele i Święta

www.karawan.pl

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe



ul.Rakowicka 26a 12 222 00 30
ul.Reduta 3B 12 222 50 49
Cm. Batowice 12 413 63 46
ul.Rakowicka 33a 12 412 89 83
ul.Wrocławska 8 12 631 77 95
Cm. Grębałów 12 645 14 35
Krakowskie Krematorium ul.Wielogórska 20 12 413 33 33
Sieroszewskiego 5 12 686 61 45
ul.Dołnych Młynów 3 12 632 11 22
ul.Bieżanowska 24 12 658 21 11
ul.Ćwiklińskiej 10 606 793 279

0011560127



EPITAFIUM

Kompleksowa Obsługa Pogrzebów
DYŻUR CAŁODOBOWY
12 650 97 10

📍 Cmentarz RAKOWICE ul. Rakowicka 31a tel. 12 411 67 58
📍 Cmentarz BATOWICE ul. Reduta 3c tel. 12 452 31 10
📍 ul. Bochnaka 7 tel. 12 650 97 10
📍 ul. Prądnicka 41 tel. 12 634 38 53

www.epitafium.krakow.pl

0011560185

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe GABRIEL

GWARANCJA NAJKORZYSTNIEJSZYCH CEN
BEZGOTÓWKOWE ROZLICZENIE POGRZEBÓW
W RAMACH ZASIŁKU ZUS, KRUS I MSWiA

tel. **696 038 038**

DYŻUR CAŁODOBOWY
PRZEWOZY Z MIESZKAŃ

ul. Wrocławska 8 (róg ul. Śląskiej)



www.gabriel24.pl

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski
przetargi



nasze komunikaty.pl

0011565469

Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy,
że dnia 2 sierpnia 2026 roku odszedł

ś†p

Zbigniew Święch

Pisarz, publicysta, badacz Historii
i nieustrudzony popularyzator Dziejów Polski

Swoją pasją, wiedzą i wieloletnią pracą
pozostawił trwały ślad w polskiej publicystyce historycznej
oraz w pamięci tysięcy czytelników i słuchaczy.

Dla Rodziny i Bliskich pozostanie przede wszystkim
ukochanym człowiekiem,
którego dobroć, mądrość i obecność
na zawsze pozostaną w naszych sercach.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
w środę, dnia 12 sierpnia 2026 roku o godzinie 13.00
w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego
na miejsce wiecznego spoczynku w Alei Zasłużonych.

Pogrążona w smutku
Żona wraz z Rodziną

Prosimy o nieskładanie kondolencji

0011564607

Z głębokim smutkiem żegnamy

Zbigniewa Święcha

znakomitego dziennikarza i publicystę,
nieustrzonego propagatora nauki,
wielkiego miłośnika historii,
oddanego Przyjaciela wielickiej kopalni

Rodzinnie i Najbliższym

wyrazy szczerego żalu i współczucia

składa

w imieniu Kierownictwa i Pracowników
Kopalni Soli „Wieliczka”
Marian Leśny
Prezes Zarządu

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:
12 6 888 444, 508 26 26 84
Kraków, ul. Zabłocie 43 A
reklama.krakow@polskapress.pl

0011565169

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 4 sierpnia 2026 roku zmarł

prof. dr hab.

Jarosław Stolicki

profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego,
kierownik Zakładu Historii Polski Nowożytnej
(2009-2021).

Wybitny specjalista w zakresie historii Polski nowożytnej.
Autor licznych prac poświęconych historii szlachty
i sejmików oraz wydawca źródeł, w szczególności
akt sejmikowych i diariuszy sejmowych, w tym m.in.:
*Egzulanci podolscy 1672-1699. Znaczenie uchodźców
z Podola w życiu politycznym Rzeczypospolitej* (1994);
Akta sejmiku podolskiego in hostico 1672-1698 (2002);
*Wobec wolności i króla. Działalność polityczna szlachty
ruskiej, ukraińskiej i wołyńskiej w latach 1673-1683* (2007);
*Diariusz sejmu koronacyjnego Jana III Sobieskiego
w 1676 roku* (2019); *Sejmiki województw ukraińskich
podczas wygnania 1648-1700* (2023);
*Literatura propagandowa dworu Jana III Sobieskiego
1674-1683* (2024).

Członek Komisji Środkowoeuropejskiej PAU.

Znakomity nauczyciel, lubiany przez studentów
wykładowca, promotor licznych prac doktorskich,
magisterskich i licencjackich.

Żegnamy Człowieka wielkiej skromności,
sumiennego badacza przeszłości.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
w środę 12 sierpnia 2026 roku o godz. 13.00
na Cmentarzu Prądnik Czerwony
(kaplica przy ulicy Powstańców).

Rodzinnie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia

składają

Rektor, Senat,
Dziekan i Rada Wydziału Historycznego
oraz Społeczność Akademicka
Uniwersytetu Jagiellońskiego

0011564344

Doktorowi

Dariuszowi Stolickiemu

wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze
kondolencje z powodu śmierci

Taty

składają

pracownicy Wydziału Matematyki i Informatyki
Uniwersytetu Jagiellońskiego

0011565148

Z głębokim bólem i niewyobrażalnym smutkiem żegnamy
naszą najukochańszą

ś†p

Amelię
Lontouw Tedonfet

Nasz mały Anioł odszedł zbyt wcześnie,
pozostawiając po sobie bezgraniczną miłość i pustkę,
której nic nie wypełni.

Wszystkich, którzy pragną pożegnać Amelię
i towarzyszyć Jej w ostatniej drodze,
zapraszamy na uroczystości pogrzebowe,
które odbędą się
10 sierpnia 2026 roku o godz. 13:40
w Kaplicy Zmartwychwstania Pańskiego
na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Pogrążeni w bólu
Rodzice, Siostra, Dziadkowie i Rodzina

0011565163

ś†p

Andrzej Stachowicz

Najukochańszy Tatuś, Mąż,
Szwagier i Wujek

Przeżywszy lat 78, opatrzony św. Sakramentami,
zmarł dnia 1 sierpnia 2026 roku.

Msza św. żałobna odprawiona zostanie w poniedziałek,
dnia 10 sierpnia 2026 roku o godzinie 11.40
w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego
do grobowca rodzinnego,
o czym zawiadamia
pogrążona w głębokim smutku

Rodzina

0011564075

Szanownej Pani Ewie Stefańskiej

oraz

Synowi Michałowi Stefańskiemu

składam najszczerze wyrazy współczucia
z powodu odejścia

ś†p

Andrzeja Stefańskiego

– matematyka z pasją, człowieka o przenikliwym umyśle,
miłośnika muzyki i przyjaciela.

Ewuniu, Michale, jesteśmy z Wami myślami i sercem.
Z wyrazami głębokiego współczucia,
Ewa Cichocka-Jarosz z Rodziną

SŁOWNIK: AIN, ANTARES, ASZYK, KASABAJA, SOMMA.

ROZWIĄZANIE: KONIECZNOŚĆ UWALNIA OD MĘKI WYBORU.

ROZMOWA

Cracovia jest w budowie, ale może kogoś wykreować

- Jesteśmy skupieni na Cracovii, która jest ranna, bo przegrała z Pogonią. Moim zdaniem będzie to nawet trudniejsze spotkanie niż z Rakowem – mówi Rafał Grodzicki, dyrektor Śląska Wrocław, z którym „Pasy” grają w niedzielę o 14.45

Jacek Żukowski

Pewnie panują u was dobre nastroje po ostatnim meczu, w którym wyrwaliście zwycięstwo w ostatniej chwili.

Z jednej strony to tak, bo jest zwycięstwo, ale patrzymy całościowo i nie chcemy być uzależnieni tylko i wyłącznie od tego, co się działo tydzień wcześniej. Bo nie zawsze będziemy wygrywali, więc raczej pracujemy nad tym, co możemy lepszego wyciągać z każdego meczu. Cieszyliśmy się zwycięstwem przez jeden dzień. Teraz jesteśmy skupieni na Cracovii, która jest ranna, bo przegrała na własnym stadionie z Pogonią. Moim zdaniem będzie to nawet trudniejszy mecz niż z Rakowem Częstochowa. Musimy być jeszcze bardziej skoncentrowani. Ale też zdajemy sobie z tego sprawę, że wygrywając z Rakowem też popełniliśmy sporo błędów.

Mecz Cracovii oglądał pan na żywo?

Nie, w telewizji. Sądzę, że nasz niedzielny mecz będzie całkiem inny. To będzie zupełnie inny mecz. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy beniaminkiem i raczej nie powinniśmy być faworytem w żadnym spotkaniu. Myślę, że podejście Cracovii będzie takie, że poczeka na to, co zrobi Śląsk. Aczkolwiek ten ostatni mecz na pewno spowoduje to, że też będzie musiała spróbować zagrać o pełną stawkę.

O ile można się było ewentualnie obawiać Cracovii, patrząc na to, co pokazała w Poznaniu, taką bardzo ścisłą, fajną bronę, o tyle teraz możecie być troszkę bardziej spokojni, patrząc na to, co zaprezentowała



Rafał Grodzicki jest dziłaczem Śląska od listopada 2024

w poniedziałek. Tonie był wspaniały futbol.

W meczach u siebie Cracovia będzie faworytem, to ona powinna i miała dyktować warunki w spotkaniu z Pogonią. Na pewno przyjdzie inna Cracovia, inaczej nastawiona, która z meczu z Pogonią wyciągnie wnioski i zagra zupełnie inaczej. Więc zdajemy sobie z tego sprawę, że nie ma co oceniać Cracovii po tym ostatnim meczu.

To, co się rzuca w oczy, to fakt, że Cracovia nie ma strzelby, nie ma kim straszyć i to było widać w pierwszym meczu, i w drugim. To się na pewno nie zmieni przed konfrontacją we Wrocławiu.

Pewnie się nie zmieni, ale myślę, że trener Grzelak chce stworzyć po prostu mocny team.

Ciekawe...

Być może bez wyrazistej gwiazdy, ale chce mieć taką drużynę, która pracuje równo i dzięki temu będzie wygrywać mecze. To, że jeszcze nikt się nie wykreował, nie znaczy, że się nie wykreuje za tydzień lub za dwa tygodnie. Wszystko w rękach i pomocy trenera.

Mam taką refleksję, że o ile w obronie można jakoś zastąpić Oskara Wójcika, który się nieźle spisywał, pomoc też jest nieźla, to napastnika nie stworzysz z minuty na minutę. A w tym momencie nie za bardzo jest ktoś, kto będzie strzelającym dziesiątką.

Cracovia ma fajnego zawodnika – Ajdina Hasicia, który sam może wykreować napastnika, albo po prostu siebie. Ktoś inny może dostawać serwis od niego. Trzeba to wziąć pod uwagę. Ta drużyna jest dopiero budowana. Wiem, że trener Grzelak

już jest jakiś czas, ale mam wrażenie, że po tych wszystkich zmianach, zawirowaniach teraz jest taki moment, w którym jego ręka powinna zacząć być widoczna. Potrzebny jest czas.

Wam też jest on potrzebny, bo też trochę zmian było. Można więc powiedzieć, że troszkę budujecie na nowo.

Z jednej strony tak, tylko że my mamy już ustalony model gry od co najmniej pół roku ze względu na to, że zmieniliśmy system gry w styczniu. Mamy tego samego trenera, cały sztab. Trzon drużyny jest zachowany. Dokooptowaliśmy kolejnych nowych zawodników, którzy powoli wdrażają się w nasze zasady gry. I ten ostatni mecz już pokazał, że ci nowi zawodnicy mogą dać nam wiele. Ale też potrzebny jest nam czas. Na pewno każdy mecz będzie działał na naszą korzyść. Jesteśmy w trochę innej sytuacji niż Cracovia dzięki temu, że trener Simundza dłużej pracuje.

W sercu pewnie robi się ciepło na spotkanie „Pasami”?

Absolutnie tak, jestem wychowankiem Cracovii więc jej poczynania cały czas śledzę i trzymam za nią kciuki. Oczywiście nie w meczu ze Śląskiem... Jak jestem w Krakowie to od czasu do czasu staram się zaglądnąć na stadion. Ale w niedzielę nie będzie sentymentów. Będę trzymał za nią kciuki w każdym innym meczu, ale nie w meczu ze Śląskiem.

Przymierzał się pan do powrotu do Cracovii w jakiejś roli?

To nie ode mnie zależy. Powiem szczerze, że jestem zadowolony z pracy w Śląsku. Udało nam się wrócić do ekstraklasy i jestem naprawdę

szczęśliwy w tym klubie. Budujemy własną strategię i wychodzi nam to, odpukać, na razie naprawdę fajnie, bo mamy swoje pomysły, układamy to krok po kroku, budujemy mocne fundamenty. I szczerze powiedziawszy nawet nie miałem myśli takich, żeby zmienić klub. Wiem, w jakiej jestem sytuacji dzisiaj, powiedzmy na początku swojej drogi jako dyrektor, ale chciałbym jak najdłużej pracować w Śląsku.

Pan jako piłkarz czy to Ruchu, czy Śląska raczej ma dobre wspomnienia z meczów z Cracovią.

Był taki czas chyba przez pierwsze kilka lat, że z Cracovią ani razu nie przegrałem. Dopiero może w końcówce dwa, trzy mecze były takie, że się nie udało, ale myślę, że bilans zdecydowanie wypada na moją korzyść.

Grał pan przeciwko „Pasom” jako byłych zawodnik. Teraz w podobnej sytuacji będzie Karol Niemczycki. To są trudne mecze dla piłkarzy, którzy byli ważnymi postaciami w poprzednim klubie?

Myślę, że nie. To jest nawet handicap, żeby jeszcze mocniej się pokazać. Coś motywującego do jeszcze lepszej gry. I myślę, że gra z drużyną w której się spędziło trochę czasu to jest coś, coś ekstra.

Spodziewać się bardziej zamkniętego meczu walki?

Myślę, że tak, że Cracovia poczeka na nas. Zdają sobie z tego sprawę, czym my dysponujemy i w czym jesteśmy mocni. Cracovia przyjdzie i będzie się przyglądała, jak funkcjonujemy i skupi się być może na tym, aby wykorzystywać nasze błędy. ©©

SKOKI NARCIARSKIE

Z urokliwej Wisły przenosimy się do francuskiego Courchevel

Paweł Wiśniewski

Courchevel to jeden z najbardziej ekskluzywnych i prestiżowych kurortów narciarskich na świecie, położony we francuskich Alpach, w Sabaudii. To właśnie tutaj odbędą się kolejne zawody Letniej Grand Prix w skokach narciarskich.

Courchevel i 132-metrowy obiekt „Tremplin du Praz” to drugi z czterech przystanków tegorocznej edycji Let-

niego Grand Prix w skokach narciarskich. Już w najbliższy weekend (8-9 sierpnia) na starcie zawodów zobaczymy aż sześcioro naszych reprezentantów.

Przypomnijmy, że tegoroczne zmagania rozpoczęły się w miniony weekend w Wiśle na obiekcie im. Adama Małysza. Dwukrotnie triumfował Japończyk Naoki Nakamura, a najlepszy wynik z Polaków uzyskał Kacper Tomasiak, zajmując w pierwszym konkursie 7. miejsce (drugiego dnia Kamil Waszek uplasował się

na 6. miejscu, ale został zdyskwalifikowany z powodu nieprzepisowej szerokości nart).

Liderem klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix jest oczywiście Naoki Nakamura, który zgromadził już 200 punktów za wygranie dwóch konkursów Wiśle. Co ciekawe, najlepszym indywidualnym „zimowym” wynikiem Japończyka jest 3. miejsce w zawodach w Ruce w sezonie 2022/2023...

Drugie miejsce w „generalce” zajmuje Austriak Marco Wörgötter – 112 punktów, a trzeci jest Szwajcar Gregor Deschanden – 110 pkt. Kacper Tomasiak zdobył 62 punkty plasując się na ósmej pozycji.

Polski Związek Narciarski desygnował do rywalizacji w Courchevel Klemensa Joniaka, Macieja Kota, Kamila Waszka, Jakuba Wolnego i Aleksandra Zniszczoła. A to oznacza to, że nasz zespół nie wykorzysta sześciuosobowej kwoty startowej, która przysługuje nam na ten okres lata.

W rywalizacji pań sprawdzi się Anna Twardosz, która w Wiśle zajmowała 11. i 19. miejsce.

We Francji zabraknie Macieja Maciusiaka, który pozostanie w kraju na treningach z Dawidem Kubackim, Kacprem Tomasiakiem, Pawłem Wąskiem i Piotrem Żyłą. Jak przekazał główny szkoleniowiec reprezentacji, do Courchevel udadzą się Stefan

Homgacher, Michał Doleżał i Krzysztof Biegun.

Transmisje na platformie HBO Max, a transmisja zmagania panów będzie dostępna w Eurosporcie 4.

Program zawodów

● Sobota, 8 sierpnia 2026 r.: godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet; godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

● Niedziela, 9 sierpnia 2026 r.: godz. 9.00 – kwalifikacje kobiet; godz. 10.30 – kwalifikacje mężczyzn; godz. 16.00 – pierwsza seria konkursowa kobiet; godz. 18.00 – pierwsza seria konkursowa mężczyzn.

©©

SPORT

EKSTRAKLASA PIŁKARSKA

Wisła Kraków musi poprawić obronę. W ataku ma już moc!



Jordi Sanchez ma świetny początek sezonu. Hiszpan w dwóch meczach strzelił trzy bramki

Bartosz Karcz

Po szalonym meczu w Gliwicach, który Wisła Kraków przegrała jednak z Piastem 3:4, „Biała Gwiazda” będzie chciała zrehabilitować się przed swoimi kibicami w starciu z Wisłą Płock. Początek meczu zaplanowano na dzisiaj na godz. 20.30.

Wisła Kraków sezon zaczęła bardzo udanie, bo na inaugurację pokonała GKS Katowice 2:1. To jak ta drużyna prezentowała się w kolejnych spotkaniach powizycie w Krakowie, pokazało, jak cenny wynik osiągnęła „Biała Gwiazda”.

No, ale drugie spotkanie już tak udane nie było, bo Wisła pojechała do Gliwic, gdzie zaprezentowała wręcz radosny futbol w obronie. Efektem tego były cztery stracone bramki i na nic się zdała dobra z kolei gra w ofensywie i trzy zdobyte na wyjeździe gole. Po tej wyprawie nie przybył wiślakom ani jeden punkt, a trener Mariusz Jop mógł powiedzieć: - Byliśmy bardzo groźni w ataku, stwarzaliśmy dużo sytuacji, chociaż na pewno zbyt łatwo traciliśmy bramki. Nie przypominam sobie, żebyśmy w meczu ligowym stracili aż tyle goli, więc to na pewno jest coś, co musimy zdecydowanie poprawić.

Rzeczywiście, Mariuszowi Jopowi ciężko jest przypomnieć sobie taki moment, bo pod jego kierunkiem on się w lidze nie zdarzył. Ostatni raz cztery

lub więcej bramek w lidze Wisła straciła bowiem bardzo dawno - dokładnie 18 maja 2024 roku, gdy „Biała Gwiazda” przegrała w Katowicach z GKS-em aż 2:5. No, a teraz przyszedł ten nieszczęsny mecz z Piastem i uwiłdocił on w pełni, z czym Krakowianie będą się zmagać w ekstraklasie. Bo tutaj drobne błędy indywidualne, złe ustawienie w obronie, zła struktura gry defensywnej - to wszystko zostanie natychmiast rozliczone i będzie kosztowało bardzo dużo. Jak temu zaradzić na szybko? Na to pytanie w Wiśle muszą znaleźć błyskawiczną odpowiedź, bo z taką grą w obronie, jak w Gliwicach, również z Wisłą Płock będzie ciężko nawet o remis.

Jedno jest pewne, w składzie Wiśły na mecz z „Nafciarzami” będzie przynajmniej jedna zmiana w porównaniu do wyjściowej jedenastki z Gliwic. Napewno bowiem nie zagra Raoul Giger, który odniósł kontuzję mięśnia dwugłowego uda, co powoduje, że Szwajcar przez kilka tygodni nie będzie mógł ani trenować z pełnym obciążeniem, ani grać. Na bokach obrony zagrają zatem zapewne Julian Lelieveld i Jakub Krzyżanowski. Czy będą zmiany w środku defensywy? Zobaczmy, choć mimo wszystko nie gra stoperów w Gliwicach była dla Wiśły największym problemem.

Wisła w tym ostatnim meczu lepiej wyglądała po przerwie, gdy na boisku pojawiła się dwójka jej liderów, czyli Julius Ertlthaler oraz Angel Rodado. Od tego momentu Krakowianie prze-

jeli inicjatywę. Dlatego wcale nie zdziwilibyśmy się, gdyby trener Mariusz Jop od pierwszej minuty posłał na boisko taką jedenastkę, jaka zaczęła drugą połowę w Gliwicach. Byłoby to ustawienie jeszcze bardziej ofensywne niż zwykle, bo Ertlthaler ma więcej atutów w ofensywie niż w obronie, ale Austriak grał już przecież na pozycji „osiem”, nie jest to dla niego nic nowego, więc dlaczego nie spróbować? Tym bardziej, że wtedy zwolni się miejsce dla Rodado nieco wyżej, ustawionego za plecami Jordiego Sancheza, a na współpracy obu Hiszpanów może mocno skorzystać ofensywa „Białej Gwiazdy”.

Krakowianie muszą podejść do meczu z Wisłą Płock maksymalnie skoncentrowani, bo na Reymonta przyjedzie zespół, który dobrze wystartował w tym sezonie, o czym świadczą wygrane w Częstochowie z Rakowem i remis z Widzewem Łódź w Płocku. Przy odpowiednim podejściu, dyscyplinie taktycznej Wisła Kraków jednak jest oczywiście w stanie wygrać ten mecz i taki musi mieć oczywiście cel na piątkowe spotkanie.

Wiślacy - ci z Krakowa - będą przy tym mogli znów liczyć na gigantyczne wsparcie trybun. W kolejnym meczu na stadionie przyul. Reymonta zasiądzie komplet widzów. Tym razem widownia będzie jeszcze większa niż na mecz z GKS-em Katowice, bo kibice z Płocka postanowili nie przyjeżdżać do Krakowa. Niepotrzebny będzie zatem bufor, a na trybunach zasiądzie około 33 tysięcy widzów. ©

● **W 3. kolejce I ligi** Puszcza zagra w sobotę o 15.30 z Odrą Opole, a Bruk-Bet Termalica w niedzielę o 17.15 z Wartą Poznań

PIŁKARSKI PUCHAR POLSKI

Emocje w Pucharze Polski. Sandecja i Podhale grają dalej. Hutnik odpada

Bartosz Karcz

To była dopiero runda wstępna Pucharu Polski, ale już z udziałem II-ligowców. W środę swoje mecze w rozgrywkach „Tysiąca drużyn” zagrały też małopolskie zespoły. Ze zmiennym szczęściem.

Skoro na tym etapie grają drugoligowcy, to do rozgrywek przystąpiły również Sandecja Nowy Sącz, Podhale Nowy Targ oraz Hutnik Kraków. We wszystkich meczach z udziałem naszych drużyn nie zabrakło emocji, ale efekt tych konfrontacji jest taki, że dalej grają jedynie Sandecja i Podhale. Hutnik może skoncentrować się już jedynie na ligowych obowiązkach.

Sandecja trafiła na inny zespół z II ligi, Rekord Bielsko-Biała. I wcieliła w życie scenariusz z ostatniego swojego meczu ligowego z Chojniczanką. Jeden gol przed przerwą, dwa po niej i wygrana 3:0. Tym razem w pierwszej połowie do siatki trafił Marko Kolar. Zrobił to już w 24 min, ale później dość długo ważyły się losy tego spotkania. Dopiero trafienia Piotra Kowalika w 78 i Adriana Dankę w 86 min z rzutu karnego zamknęły sprawę. Sandecja może już czekać na kolejnego rywala w Pucharze Polski, ale przede wszystkim skoncentrować się na trudnym wyjeździe w II lidze, bowiem w niedzielę zagra o godz. 14.30 z liderem tabeli Avią w Świdniku.

Zespół z Nowego Sącza nie był jedynym, który rywalizował z ekipą

z Bielska-Białej. Znacznie gorzej poszło jednak Hutnikowi w wyjazdowej konfrontacji z Podbeskidziem. Mecz rozegrano nie w Bielsku-Białej, a w Dankowicach. A wcale nie musiało. Co prawda prowadzenie dla „Górali” uzyskał w 73 min Krzysztof Twardosz, ale już trzy minuty później mogło być 1:1, gdyby rzut karny wykorzystał Oskar Kordykiewicz. Niestety, zmarnował jedenastkę, a w 88 min wspomniany Twardosz podwyższył na 2:0 i zamknął sprawę awansu do I rundy. W Hutniku mogą myśleć już o derbowej, małopolskiej konfrontacji z Podhalem w II lidze. Mecz w Nowym Targu zacznie się w sobotę o godz. 13.

W lepszych nastrojach przystąpią do niego bez wątpienia właśnie piłkarze Podhala, którzy z Pucharu Polski wyrzucili Chojniczankę. Nie bez problemów jednak. Spotkanie mogło dość szybko dobrze ułożyć się dla Podhala, ale w 11 min rzut karny zmarnował Szymon Sobczak. Na rozstrzygnięcie trzeba było zatem czekać do końcówki meczu. Sprawę załatwiły trafienia Damiana Kołtańskiego w 88 min oraz Tobiasza Kubika w drugiej doliczonej minucie gry.

Losowanie I rundy Pucharu Polski odbyło się wczoraj po zamknięciu tego wydania.

Sandecja Nowy Sącz - Rekord Bielsko-Biała 3:0 (1:0). Bramki: 1:0 Kolar 24, 2:0 Kowalik 78, 3:0 Danek 86 karny.
Podbeskidzie Bielsko-Biała - Hutnik Kraków 2:0 (0:0). Bramki: 1:0 Twardosz 73, 2:0 Twardosz 88.
Podhale Nowy Targ - Chojniczanka Chojnice 2:0 (0:0). Bramki: 1:0 Kołtański 88, 2:0 Kubik 90+2. ©



Podhale Nowy Targ gole w meczu z Chojniczanką strzelało dopiero w końcówce, ale to i tak przesądziło o awansie do I rundy Pucharu Polski